



SKAMANDER

MIESIĘCZNIK LITERACKI PAŹDZIERNIK 1935

TREŚĆ ZESZYTU
SZEŚCIDIESIĄTEGO TRZECIEGO

Nokturn — MARJA JASNORZEWSKA (PAWLIKOWSKA)	467
Czasy pogardy — ANDRE MALRAUX, przełożył WACŁAW ROGOWICZ	468 — 477
Gusła — EMIL ZEGADŁOWICZ	478 — 479
Skargi nowego Jeremjasza — ANTONI SŁONIMSKI	480 — 481
Ojciec Conrada — ADOLF NOWACZYŃSKI	482 — 493
Aniołowie. Morze Czarne — WOJCIECH BĄK	494 — 495
Wisła — stal. Ballada kowali — ST. R. DOBROWOLSKI	496 — 497
Ludzie z wosku — EWA SZELBURG-ZAREMBINA (c. d.)	498 — 525
Przebudzenie — ŚWIATOPEŁK KARPIŃSKI	526
Przeгляд teatralny — IRENA KRZYWICKA	527 — 528

Plansze ZOFJI STRYJEŃSKIEJ

Okładka JADWIGI HŁADKÓWNY

Redaktor: MIECZYŚLAW GRYZDEWSKI

Wydawcy: ANTONI BORMAN i MIECZYŚLAW GRYZDEWSKI

Redakcja: Warszawa, Złota 8 m. 5, tel. 242-82, poniedziałki, środy i piątki od 16—18.

Administracja: Królewska 13, tel. 223-04, codziennie 9—19.

Konto czekowe 8.515.

Prenumerata z przesyłką zł. 7.50 kwartalnie, dla prenumeratorów „Wiadomości Literackich” zł. 4.50, zeszyt pojedynczy zł. 2.50, dla prenumeratorów „Wiadomości” zł. 1.50.

Redakcja nie zwraca drobnych rękopisów. — Utwór, o którego druku autora redakcja nie zawiadomiła w ciągu miesiąca od chwili nadesłania, jest odrzucony.

Redakcja nie podejmuje się oceny rękopisów.

7
S K A M A N D E R
M I E S I Ę C Z N I K P O E T Y C K I

ROK DZIEWIĄTY
TOM DZIEWIĄTY

PAŹDZIERNIK 1935
ZESZYT LXIII

SKAMANDER
MINSKIE PORTYKI

W noc bezsenna,
Noc rozgwieżdżoną,
Wspominasz kronikę dnia...

Ktoś się otruł.
Kogoś stracono.
Inny przepadł w nędzy bez dna.

Czujesz wyrzut sumienia. Dlaczego?
Wgórze mgli się galaktyczny nimb...
Serce pęka ci krzywdą bliźniego
I nie z tobą współczuje,
Lecz z nim.

Aż w medytacji zawilej
Nagle w oczach poczułeś łzy...
„Przecież nie ja ich zabiłem?” —
Żałuj, o, żałuj! Ty. —

Tyś jedyna nieszczęścia przyczyna!
Wszelką winę na siebie zwal!
Zrozum że to wszechświat wprawiać się poczyna
Sercem twojem — w Doskonały Żal!

Z przerażeniem patrzy w plon obfity
Ofiar swoich popędów i gier,
I przez chwilę, z pasją neofity,
Pragnie jęczeć, uderzać się w piers...

Marja J a s n o r z e w s k a (P a w l i k o w s k a)

P r z e d m o w a

Artykuły poświęcone temu opowiadaniu, gdy było drukowane w czasopiśmie, skłaniają mnie do wskazania tutaj, naprędce, kilku myśli, których rozwiązanie zostawiam sobie na kiedyindziej.

Ci co uważają moją dokumentację za zbyt pochopną, niech się zwrócą do urzędowych regulaminów obozów koncentracyjnych. Nie określałam niemieckiej partji narodowo-socjalistycznej przez obozy; to co wiemy o katordze francuskiej nie jest zbyt budujące; ale tu idzie o obozy koncentracyjne.

Świat takiego utworu jak ten, świat tragedji, to zawsze świat antyczny; człowiek, tłum, żywioły, kobieta, przeznaczenie. Sprowadza się do dwóch osób działających, bohatera i sensu, jaki on nadaje życiu; antagonizmy indywidualne, umożliwiające powieści jej skomplikowanie, tutaj nie występują. Gdybym był musiał dać nazim znaczenie, jakie dają Kassnerowi, oczywiście uczyniłbym to, ukazując je w działaniu ich rzeczywistej namiętności, nacjonalizmu.

Sławny przykład Flauberta bardziej niż jakikolwiek inny przyczynia się do pomieszania pojęć: Flaubert (dla którego walor artystyczny był wartością najwyższą, który istotnie stawiał artystę ponad świętego i bohatera), tworząc jedynie postacie obce jego namiętności, mógł pomsunąć się aż do napisania: „Unurzam ich wszystkich w tem samem błocie — bo jestem sprawiedliwy“. Taka myśl byłaby niezrozumiała dla Ajschylosa jak i dla Corneille'a, dla Victora Hugo jak i dla Chateaubrianda, a nawet dla Dostojewskiego. Byłaby — jest — przyjęta przez wielu autorów, których niema celu im przeciwstawić: idzie tutaj o dwie zasadnicze koncepcje sztuki. Nietzsche uważał Wagnera za histrjona, gdy ten oddawał swój genjusz na usługi swym postaciom. Ale można chcieć widzieć sens słowa „sztuka“ w usiłowaniu uświadamiania ludziom ich własnej, nieznannej im wielkości.

Nie namiętność niszczy dzieło sztuki, lecz wola udowodnienia; wartość jakiegoś dzieła nie jest funkcją ani namiętności ani bezstronności, które je ożywiają, lecz harmonji między tem co ono wyraża a środkami jakich używa. Jednakowoż, jeżeli ta wartość — i racja bytu dzieła.

i jego prowizoryczna przynajmniej trwałość — leży w jego jakości, działa ono, czy autor tego chce, czy nie, przez przesunięcie walorów wrażliwości; i niewątpliwie dzieło nie powstałoby bez głuchej konieczności przesunięcia tych walorów. Otóż, dzieje wrażliwości artystycznej we Francji od pięćdziesięciu lat możnaby nazwać agonją męskiego braterstwa. Jego istotnym wrogiem jest niesformułowany indywidualizm, rozsypany na przestrzeni XIX w. i zrodzony znacznie mniej z woli stworzenia pełnego człowieka, niż z fanatyzmu odrębności. Indywidualizm artystów, zaprzątnięty nadewszystko troską o zachowanie „świata wewnętrznego” i uprawniony tylko wtedy, gdy stosuje się do dziedziny uczucia lub marzenia; gdyż, konkretnie, „wielkie dzieło bestje Odrodzenia”, żeby działać, były zawsze zmuszone przeobrażać się w osły dźwigające relikwie, i postać Cezara Borgii traci swój blask, gdy się pomyśli, że to co było najzrozumialsze z jej skuteczności pochodziło z powagi kościoła. Pogarda dla ludzi jest częsta u polityków, ale poufna. Nie w czasach Stendhala dopiero społeczeństwo realne zmusza indywidualistę czystej krwi do obłudy z chwilą gdy chce on działać.

Osobnik przeciwstawia się zbiorowości, ale żywi się nią. I daleko mniej jest ważne wiedzieć czemu się przeciwstawia, niż wiedzieć czem się żywi. Jak umysł, osobnik posiada wartość przez to co się w nim mieści. Sięgnąwszy w przeszłość widzimy, że osobnik chrześcijański istniał taksamo jak indywidualium nowoczesne, a dusza warta jest tyleż co odrębność. Wszelkie życie psychologiczne jest wymianą, i podstawowym problemem osobnika jest wiedzieć, czem on chce się żywić.

Dla Kassnera, jak dla wielu intelektualistów komunistów, komunizm przywraca jednostce jej żyźność. Czy to będzie Rzymianin cesarstwa, chrześcijanin, żołnierz armji Renu, czy robotnik sowiecki, człowiek jest związany ze zbiorowością, która go otacza; Aleksandryn, pisarz XVIII w., jest od niej odgradzony. Jeśli zarazem nie jest związany z tą zbiorowością, która po niej nastąpi, jego zasadniczy wyraz nie może być bohaterski. Przynależy on do innych postaw ludzkich...

Trudno jest być człowiekiem. Ale nie jest trudniej zostać nim pogłębiając swą wspólność niż kultywując swą odmiennność, — i wspólność żywi z takąż conajmniej mocą to przez co człowiek jest człowiekiem, to przez co wznosi się ponad siebie, tworzy, wynajduje lub zdobywa swój kształt.

TOWARZYSZOM NIEMIECKIM, którzy zechcieli przekazać mi co przecierpeli i co z a c h o w a l i, TĘ KSIAŻKĘ, KTÓRA JEST ICH KSIAŻKA.

I

W chwili gdy Kassnera wepchnięto do kancelarji, jakiś badany więzień kończył zdanie, które zatraciło się w policyjnym hałasie butów i papierów. Z drugiej strony stołu urzędnik hitlerowski: takie same

szczęki, taka sama twarz czworokątna, takie same włosy prawie ostrzyżone przy skórze nad uszami, z krótką blond szczecina na czaszce.

— ...instrukcje partji.

— Od kiedy?

— 1924.

— Jakie pan pełnił funkcje w nielegalnej partji komunistycznej?

— Nie znam partji nielegalnej. Aż do stycznia 1933 moje funkcje w partji niemieckiej były natury technicznej.

Komunista poruszył się i obrócił prawie tyłem do Kassnera. Gdy się usłyszało głosy, twarze nie były już podobne. Głos badanego był dość niski, bezimienny, jakgdyby więzień zaznaczał samym jego timbrem, że to nie on odpowiada, lecz jakaś osoba nieodpowiedzialna i przymuszona. Głos badającego był roztargniony, młodszy jeszcze od bardzo młodego profilu. Kassner oczekiwał, że ten młodzieniec, od którego miał być zależny, powoli odstłoni się głosem i słowami.

Nazi patrzył na więźnia, który nie patrzył na nic.

— Pan udał się do Rosji.

— Jako technik: byłem przydzielony do elektrozawodu.

— To się okaże. Jaka była pańska funkcja w Niemieckiej Republice Nadwożańskiej?

— Nigdy nie widziałem tej republiki. Ani Wołgi.

— Do której komórki partyjnej należał pan w Berlinie?

— Ex-1015.

— To się okaże. Pod czym kierunkiem?

Komunista teraz obrócony był zupełnie tyłem, i Kassner czekał na jego głos:

— Hansa.

— Tegom się spodziewał. Pytam się ciebie o jego nazwisko! Czy ty kpisz sobie skurwysynie?

— Znamy naszych towarzyszków tylko z imienia, bez wyjątku.

— Jego adres?

— Nigdy się z nim nie widziałem poza komórką.

— Dobrze. Ja cię każę wsadzić do jednej z naszych: zobaczysz. jak ci to odświeży pamięć. Ile czasu siedziałeś w Moabicie?

— Sześć miesięcy.

— Sto osiemdziesiąt dni od chwili twego aresztowania?...

Kassner uświadomił sobie wreszcie własne. S. A. zabrali go naprzód autobusem (bardziej zamkniętym, ze swymi pasażerami hitlerowcami, niż furgon więzienny). Jedno z miejsc, gdzie rzekomo pracował, mała fabryka śmigieł o zmiennym skoku, usprawiedliwiała rozporządzenie przy okazji samolotem; samolot spał, tam, w swym hangarze, i podczas całej jazdy Kassner myślał tylko o nim. Na jakimś rogu ulicy malarze śpiewali, odnawiając wystawę sklepu z farbami, równie pstrą jak Krasnaja Płoszczad'... Dotychczas to wszystko wydało mu się nie-realne, raczej na podobieństwo obrzędu niż snu.

— Sto osiemdziesiąt... — podjął badający. — No, no... Powiedz, kto przez ten czas spał z twoją żoną?

Czy więźnia, którego tamten nie spuszczał z oka, ugodził ten cios? Kassner czuł ostro obecność tego człowieka, wraz przygwożdżonego tutaj całą swą niewolą i wyzutego z całej swej siły. Ton badającego przestał być napastliwy.

— Kto śpi z twoją żoną? — powtórzył.

Kassner czuł się na miejscu komunisty, zarazem widzem i bolesnym aktorem, i tracił jasność umysłu.

— Nie jestem żonaty — odpowiedział więzień, ukazując się znowu z profilu.

Ponowne milczenie.

— To nie przeszkadza, żeby mieć kobietę... — rzekł wreszcie nazi tym samym obojętnym głosem.

Dwaj mężczyźni patrzyli teraz na siebie z zużytą odrazą.

Urzędnik skinął brodą: dwóch S. A. zabrało więźnia, potem pochnęli Kassnera ku stołowi. Nazi popatrzał na niego, otworzył akta i wyjął stamtąd fotografie.

Jak wszyscy, którym niekiedy zdarza się ukrywać swą tożsamość, Kassner znał dobrze swoją długą końską twarz o zwartych szczękach. Której fotografii przyglądał się hitlerowiec? Kassner widział ją nawspak. Niezbyt niebezpieczna: głowę miał wtedy ogoloną, i wraz tej wąskiej maski z samych kości, o spiczastych uszach, był znośnie różny od tego, jaki jawiła dzisiaj, pod prawie długimi włosami szatyna, jego rasowa, sterana, nieco romantyczna głowa. Sfotografowano go z zaciśniętymi ustami; wiedział, że przy uśmiechu jego długie zęby odstaniały się do dziąseł. Przygryzanie dolnej wargi również obnażało mu zęby. Zrobił to — odrobinę, gdyż bolał go ząb trzonowy, — i opuścił wzrok na stół: jego ogromne oczy zazwyczaj patrzyły trochę ponad swój poziom, i wystarczyło, żeby udał iż je spuszcza, do usunięcia białej linii między tęczęwką a dolną powieką.

Nazi wpatrywał się naprzemian w oczy na fotografii i na twarzy, nic nie mówiąc. Kassner wiedział, że gdyby go poznano, byłby zabity, z wyroku czy bez.

— Kassner — rzekł nazi.

Wszystkie głowy pisarków lub S. A. uniosły się.

Po raz pierwszy Kassner spotkał się z legendą o sobie na twarzach wrogów.

— Jestem znany w mojem poselstwie. Najgłupszy konspirator nie prosi o ogień żandarmów, żeby w ich oczach wpaść w pułapkę.

Znajdował się z kilkoma towarzyszami w małym magazynie starożytności, należącym do jednego z nich, na pół godziny przed umówioną wizytą u dentysty, gdy jeden z członków nielegalnej organizacji wszedł, powiesił palto nad kupą dalmatyk, ikon, ornatów, prawosławnych szat kościelnych i rzekł siadając: — „Jest zasadzka na Wolfa.

Będzie rewizja". Wolf wstał — „Mam listę nazwisk w kopercie zegarka"... Mieli zalecone, aby nie trzymać nigdy nazwisk u siebie. — „Będziesz aresztowany przy wejściu. Gdzie jest zegarek?"... — „W szafie, w kieszonce czarnej kamizelki. Ale to"... — „Bez gadania: lista! Daj klucze". Kassner wchodząc spotkał dwóch S. A. w korytarzu: to już nawet nie była zasadzka. Zatrzymał się przed nimi, spróbował zapalić, pustą zapalniczką, papierosa, trzymanego w ustach, poprosił S. A. o ogień, poszedł na górę. Dzwoniąc, przywarł do drzwi, aby ukryć rękę, wpychając klucz, wszedł, zamknął drzwi, otworzył szafę, wziął zegarek, włożył zegarek na miejsce i zamknął szafę. Żadnych kroków na schodach. Miał być aresztowany przy zejściu na dół. Niema gdzie w tym pokoju rzucić klucza, a otworzyć okno byłoby niedorzecznością. Wsunął go w kieszeń pierwszych lepszych spodni wiszących w szafie: Wolf mógł mieć kilka kluczy.

Trzeba było przeczekać pięć minut, że niby przyszedł odwiedzić Wolfa i nie zastał go. Smak papieru żutego nie bez bólu (newralgia czy próchnienie zęba? Gdyby to przynajmniej wydarzyło się po dentyście!) przypominał mu zapach kartonu karnawałowych masek. W najlepszym nawet razie niełatwo mu będzie wykaraskać się z tego: wartość fałszywych dokumentów jest zawodna... A nie zapatrywał się optymistycznie na więzienia nazich. Kto zna kres swej wytrzymałości? Ileż razy mówiono mu, że więzień koniec końców zużywa dla zdobycia dodatkowej racji żywności energję potrzebną do nielegalnego zorganizowania całej dzielnicy? Cisnął papierosa: w połączeniu ze smakiem żutego papieru smak tytoniu mdlił go. Wreszcie wyszedł i został aresztowany na półpiętrze.

— Znajdziecie w mojej fabryce, uważacie, korespondencję złożoną z piętnastu zgórą listów, wymienionych między panem Wolfem a nami — rzekł Kassner. — Wszystkie zamówienia zostały dostarczone.

Nielegalna organizacja miała się na baczności.

Akcent pilzeński nie był zły, ale prawdziwy Kassner był monachijczykiem. Kassner przyzwyczał się, gdy był na robocie, używać często, nie zwracając na to uwagi, „uważacie"; serdeczność tego wyrażenia, skierowanego do nazich, mierzyła go; wystrzegał go się — na próżno — i mówił wolno. Badający i badany wiedzieli dobrze, jak trudno jest dowieść fałszywej tożsamości, drobiazgowo obmyślonej. Nazi wertował akta, podniósł oczy, znowu wertował.

Fotografja, myślał Kassner, rysopis. A te wszystkie papiery? S. A. potwierdził, że Kassner poprosił go o ogień. Ale jak wszedł? Nie znaleziono przy nim klucza, dobrze, i słyszano jak dzwonił; ale wierzyć, że drzwi nie były zamknięte...

Jaki kształt mogło przybrać jego życie na tych kawałkach papieru? Syn górnik; stypendysta uniwersytetu, organizator jednego z teatrów proletarjackich; jeniec Rosjan, który przeszedł do partyzantów,

potem do armii czerwonej; delegat do Chin i Mongolji; pisarz, przybyły z powrotem do Niemiec w 1932 w celu przygotowania strajków w zagłębiu Ruhry przeciw dekretowi Papena, organizator nielegalnego wywiadu, były wiceprezes Czerwonej Pomocy... Jest za co go każać zabić, oczywiście, lecz to co zrobił, da się doskonale pogodzić z miłą pewną siebie.

— Pójść z fałszywymi papierami do poselstwa nie jest trudniej, niż na ulicę — rzekł nazi.

Ale Kassner czuł w nim wahanie. I wszyscy koło niego wahali się: ludzie chcą, żeby romantyczne życie wyrażało się teatralną twarzą. Zdawało się, że Kassner, kronikarz syberyjskiej wojny domowej, nacechowany intensywną plastyczną malowniczością, rozwiniętą przez kontakt ze sceną, i surowym darem męskiej emocji, musi wlec za sobą dramaty, które przeżył i opisał, i życie jego zlewało się w pamięci z łachmaniastą epopeją Syberji. Ponadto wiedziano o jego obecności w Niemczech od czasu tryumfu Hitlera, i wszyscy, których spotkała klęska, kochali w nim, jednocześnie, towarzysza (jego funkcja była ważna, ale nie naczelna) i przyszłego kronikarza ich zgnębionych dni. Nawet dla swych wrogów, był uczestnikiem tego co widział jako podróźny kraju, który przebył, jako świadek katastrofy, z której wyszedł cało. Wszyscy spodziewali się twarzy z piętnem Syberji: niezawodnie znaleźli to piętno na fotografjach, niedawno zamieszczonych w pismach, gdzie je z łatwością dodawano. Żywa twarz mniej nadawała się do takich modyfikacyj. Prawie wszyscy co się wahali gotowi byli uważać za śmieszne wzięcie tego człowieka za Kassnera. Badający opuścił pokój, wrócił, zamknął akta, uczynił ten sam znak podbródkiem co przy końcu poprzedniego badania. Dwóch S.A. popchnęło Kassnera ku drzwiom, potem od szturchańca do szturchańca (jednak bez przekroczenia konwencjonalnej brutalności wojskowej), do więzienia.

Gdyby postanowili zabić mnie zaraz, myślał Kassner, zaprowadziliby mnie na odwach.

Ale nie: korytarze, korytarze.

Zamknięto go wreszcie w dość obszernej ciasnej dziurze.

Po kwadransie mrok stopniowo wessały w siebie ściany o zaczynającej się ukazywać szarej barwie. Kassner chodził wokół po celi, na próżno czynny, myśląc, niewiadomo o czym; uświadomił to sobie, zatrzymał się. Ściana była brudniejsza przy drzwiach i nad podłogą. Spowodu tych, co jak on, chodzili tutaj? Ale nie było kurzu. Cella była po niemiecku czysta; higieniczna... Wilgoć? Już spostrzegął, że te kwestje były mechaniczne: gdy jego umysł kręcił się wokół, jak jego idjotyczne ciało (muszę coraz bardziej przypominać konia), wzrok zatrzymał się, oko pojęło wcześniej niż mózg: ściana udołu była pokryta napisami.

Myśl chwytła się wszystkiego co było na podorędziu, byle unik-

nać skupienia. O czym tu myśleć? Zorjentował się, że chodziło tylko o to, żeby wiedzieć, czy prędko przyjdą go zabić, torturować lub tylko bić; lepiej myśleć o napisach.

Dużo było częściowo zatartych. Niektóre, szyfrowane. (Jeżeli mam tu pozostać, poszukam szyfru). Inne — wyraźne. Zaczął znowu spacerować dokoła celi, bardzo wolno, wyodrębnił wzrokiem najwyraźniejsze i przeczytał podchodząc: *Nie chcę...* Dalej, zatarte. Inny: *Umrzeć na ulicy byłoby jednak mniej nędzne niż umrzeć tutaj.* Wielokrotnie, odkąd był więźniem, Kassner powiedział sobie, że większość robotniczą, której nie posiadali, mogli byli zdobyć w otwartej walce; ale wiedział, ile ma w sobie romantyzmu, i nie ufał mu ani trochę. „Nie można zwyciężyć samą awangardą” — mówił pewien natrętny tekst Lenina. Od chwili powrotu do Niemiec Kassner poczuł, że jest rzeczą niemożliwą stworzenie jedności robotniczej bez akcji w syndykatkach reformistycznych i katolickich, że praca wewnątrz związków i fabryk była zbyt nikła, żeby mogły one zostać wciągnięte do walki: robotnicy rewolucyjni, zwalniani przedewszystkiem, przechodzili do rzemiosła, zaledwie dziesiąta część partji walczyła w wielkich fabrykach. W ubiegłym roku mniej było strajków w Niemczech niż we Francji, w Anglii, w Stanach Zjednoczonych... Kassner pracował przy organizowaniu czerwonych związków zawodowych: zgórą trzysta tysięcy członków przy końcu roku. Jednakże było to za mało.

Teraz, gdy władza przeszła do Hitlera, chodziło, żeby zorganizować połączenie wszystkich sił rewolucyjnych w samych fabrykach i skupić te siły w kierunku ścisłego kontaktu z codziennymi wydarzeniami, przesyłaniem jaknajprędzej, skutecznie przytem związanym z inicjatywą organizacyj podstawowych. Kassner pracował więc od stycznia w wywiadzie; był to jeden z najniebezpieczniejszych działań, i napisy najczytelniejsze — najświeższe — były niewątpliwie skreślone przez jego członków. Podeszedł do innego: *Włosy moje są jeszcze czarne*; i jakgdyby wybór tego napisu zrodził się z jakiejś siły w nim, ostrzejszej, pewniejszej niż jego oko, usłyszał wyraźnie jakieś kroki. Ilu ich?

Dźwięki mieszały się: trzech, czterech, pięciu, conajmniej, może sześciu.

Sześciu S.A. mogło przyjść tu razem o tej porze, tylko aby katować.

Drzwi jakiegoś oddalonego lochu otworzyły się i zamknęły w hałasie butów, raptem wtłoczonym w wełnę ciszy.

Istotną groźbą nie był ani ból, ani mord, była nią pomysłowość sadystyczna tych, za którymi dopieroco zamknęły się drzwi. We wszystkich krajach ci co wybierają sobie to zajęcie są zazwyczaj tem co jest tam najplugawszego.

Na dnie upokorzenia, jak i na dnie bólu, oprawca ma szanse być silniejszym od swej ofiary. „Jeżeli będą mnie męczyli, żeby wydobyć wiadomości, których nie posiadam, nic na to nie poradzę. Przypuśćmy

więc, że ich nie posiadam". Jego odwaga, w owej chwili, była użyta do oddzielenia go od samego siebie, do oddzielenia tego, który za kilka minut będzie we władzy dźwięków, wydawanych przez groźące buty, od Kassnera, którym potem stanie się z powrotem.

Siła więzienia była taka, że nawet dozorczy mówili prawie cicho. Krzyk raptem wypełnił jego celę, długi aż do kresu tchu, zdławiony wreszcie w duszeniu się.

Trzeba było uciec w całkowitą bierność, w nieodpowiedzialność snu i szaleństwa; a jednocześnie trwać na czatach myślą dość jasną, żeby się bronić, żeby się nie dać zniszczyć tu beznadziejnie. Oderwać się od samego siebie, żeby wydać z siebie tylko to co nie jest najważniejsze.

Krzyk zerwał się znowu. Ostrzejszy. Kassner wraził oba palce wskazujące w uszy. Napróżno: myśl chwyciła wnet rytm ryczącego bólu i wyczekiwała krzyku w tym samym momencie, gdy powracał. Kassner był na wojnie, ale nigdy nie słyszał, jak ryczy człowiek katuszony w zamkniętym miejscu. Ranni na wojnie jęczeli, i ich krzyki nie miały nic wspólnego z tym krzykiem, przerażającym zwłaszcza tem co w nim było tajemniczego. W jaki sposób zadawano cierpienie temu człowiekowi co ryczał, w jaki sposób niebawem on sam będzie cierpiał? Tortura na otwartym powietrzu wydała mu się raptem łaską.

Drzwi się zamknęły, kroki podchodziły ku jego celi.

Uświadomił sobie, że był przyklejony do ściany swej nory, z głową w ramionach. Był zdecydowany, ale nie były zdecydowane jego kolana. Odsunął się od ściany, rozjątrzony miękkością swych nóg.

Drugie drzwi zamknęły się za krokami, jakby je schwytały w przejściu. Cisza na mrowisku szmerów.

Powrócił ku drzwiom: *Stahl zabity dnia...* Napis był niedokończony, tym razem, nie zatarty; od ściany wiało ludzkimi losami.

Przypomniał sobie pewien list żony więźnia: „Jak oni go bili! Nie poznałam go, Tereso, nie poznałam go wśród innych”.

Ilu towarzyszków przyjdzie tutaj po nim? Ołówka jeszcze mu nie zabrano. *Jesteśmy z tobą* — napisał.

Podnosząc rękę, odczytał inny napis: *Nim upłynie miesiąc, zabiję Federwischa*. Był to niedawno jeden z szefów obozu. Który umarł, ten co groził, czy ten komu grożono?

Gdy jego oko chwyciło w przelocie wiersze napisów, jednocześnie ucho na czatach łowiło kroki dozorców i niewyraźne skrobanie w sąsiednich celach, i nagły, wraz stłumiony przez korytarze i wyklarowany przez oddalenie hałas besztania na dziedzińcu... Krzyku wciąż nie było. Zaczynał żyć życiem z samych dźwięków i wrogich szmerów, życiem ślepcy któremu grożą.

Wiedział, jak trudno nie odpowiadać na bicie. Znał swą siłę, męską swobodę, która często pozwalała mu znaleźć w człowieku tę słabą okolicę serca, gdzie nie zapominał o swych zmarłych; ale nie miał ochoty

rozmawiać z nazi. Zresztą, bezinteresowni hitlerowcy nie wybrali funkcji dozorców więziennych; Kassner wiedział aż nadto dobrze, że jeśli każdy może zabić w walce, nato żeby bić więźnia, potrzeba nikczemnej łaski państwa. Musiał tylko zdobyć się na milczenie. Nie jego rzeczą było odpowiadać na razy historycznymi słowami, jego rzeczą było uciec, aby wrócić do swej roboty rewolucyjnej. A może mają go zamęczyć; lecz w Hagen, w fabryce o siedmiuset pięćdziesięciu robotnikach, było niemożliwością pomimo terroru zmuszenie do wydania bodaj jednego z tych co rozdawali proklamacje.

„Zobaczysz, jak to zmieni charakter twych wspomnień“...

Stał pośrodku lochu, z łokciami przyciśniętymi do ciała, wciąż oczekując nowego krzyku. Nic. Wszelako, ponieważ cela, gdzie weszli przed chwilą S. A., była bliżej niż poprzednia, zdawało mu się, że słyszy zgłuszone uderzenia... Wreszcie, gdy tak ciągle czyhał na krzyk, doszedł go głuchy wrzask, wyraźniejszy między dwoma metalicznymi dźwiękami otwarcia i zawarcia drzwi.

Kroki, bardzo bliskie tym razem. Kassner podszedł aż do drzwi swej celi, które się otworzyły w chwili dojścia do nich.

Weszło czterech S. A., dwóch zostało na korytarzu. Wszyscy, z ramionami w kabłąk, głowa naprzód — oświetleni tylko ślepą latarką, którą jeden z nich postawił na ziemi.

Te typy, porwane komedją siły, o ramionach odstawionych od baraków, jak u Herkulesa i szympansów, wyglądały — bez twarzy i bez ciała — bez porównania tragiczniej niż były w istocie. Jego trwoğa zniknęła. Była to trwoğa pierwotna, przed cierpieniem połączonym z niewiadomem; a może oczekiwał przede wszystkim sadystry, pijaka, warjata, czegoś nieludzkiego. Ci nie byli pijani. Pozostawał sadyzm. Ale od chwili, gdy tu weszli, podniecenie i hart zastąpiły trwoğę.

Patrzyli na niego. I z pewnością widzieli go bardzo źle, tak jak on sam ich widział, bezkształtnych, oddołu oświetlonych tylko na brodach i szczytach policzków i nakrytych swemi przysadzistemi cieniami, które skakały na sufit niby olbrzymie pająki. Po raz wtóry czuł się zagnany w norę, ze wszystkimi głazami więzienia zwalonemi dokoła jego dziury. Światło padało również, zdołu, na jego kości policzkowe; boleśnie; ale nie, ból pochodził stąd, że zaciskał szczęki z całej mocy. Zauważył z goryczą, że ząb już go nie boli. Był zdecydowany nie cofnąć się ani na metr.

Cios kułakiem w żołądek zgiął go naprzód, jakby się wtłoczył w siebie; w tej samej chwili gdy jego twarz schylała się, nowy cios pod brodę zwałił go za jednym zamachem; poczuł na żebrach jednocześnie cement podłogi i buty, które zaczęły go kuć. Słabość bólu zdumiała go, choć była na granicy zemdlenia; w zestawieniu z torturą, ze wszystkim o czem myślał, być zbitym było śmiechu warte. A że padł na brzuch, miękkie części ciała były osłonięte. Pod razami, wydawało mu się, że brzuch jest w środku ochronnej klatki z żeber i kości, nad

Targani wiecznym niedosytem,
Padamy pod nieba kłamliwym błękitem,
Pełni żalu i pełni miłości
Dla naszej ubogiej ojczyzny:
Szerokości, wysokości, płaszczyzny.

Antoni Słonimski

OJCIEC CONRADA

Przedewszystkiem imię. Skąd takie imię niezwyčajne, mało polite, utrudniające, zobowiązujące: Apollo? Jakiż to pretekst na całe życie do przycinków sarkastycznych, o ile, jak w danym wypadku, wyobrażenie, związane z tym dźwiękiem, będzie kolidowało z fizycznymi warunkami tego, któremu imię przypadło w nietrafnym udziale?

Była w pierwszych dziesiątkach XIX w., w erze, jak wiadomo, romantycznej i romansowej, moda na takie imiona wśród bene-natów i possessionatów. Rzecz przytem bardzo frapująca, że moda takich egzotycznych i ekscentrycznych imion opanowała w Polsce głównie i omal tylko kresowe prowincje, i to tak wschodnie jak i zachodnie kresy, a więc Wołyń, Podole, Ukrainę i... Wielkopolskę. W środkowej Polsce brano imiona potoczne, szare, wyświechtane, kalendarzowe. Na ziemiach Mohortowych jednych i drugich imiona z mitologii, z historii, z literatury, z romansów. Bywali więc tu i tam: Cyrus, Kanut, Hektor, Cezar, Tytus, Darjusz, Sokrates, Hamilkar, Tertuljan, Artakserkses, Postumus, Oktawjan, Korjolan. Bywali z dziwaczniejszych Pamfil, Pantaleon, Platon, Pius, Dezyderjusz, Porfiry, Gaudenty, Mamert, Narcyz, Cyrjak, Arsen, Gwido, Witalis, Gracjan, Hiacynt, Protazy, Aryst, Hugo, Heljodor. Gdzie kto teraz w prozaicznych czasach słyszał o takich obciążających imionach męskich? Oczywiście, odpowiednio do tego i kobiece: Wirginja, Imogena, Prowidencja, Pulcherja, Bibianna, Olimpja. Dalej: Eufrozyna, Ewelina, Genowefa, Narcyza, Delfina, Pia, Kordelja, Adina, Taida a nawet Nymfa! Dochodziło do tego, że panna... Szuszkowska... Ottolina wychodziła za... Napoleona... Bujalskiego; Narcyz okazywał się pękatym, roztyłym, sto pięćdziesiąt kilo żywej wagi, brzuchaczem, Pius — abstynentem, Korjolan — najtchórzliwszym ugodowcem w powiecie, Salomea („której święto nam przypada ostatniego... października“) taką plotkarą pod Żytomierzem, jaką jej imienniczka pod Zaniemięsem. Bywały też zatabaczone safandule... Cezary a nienormalnie rozwiązałe Genowefy, bywały Pulcherje chude jak szczapy a Nymfy czy Delfiny pulchne i słynnie nagłós się pocące i z tej przyczyny nadmiernie paczulą czy werbena wonne...

Apollo Korzeniowski, „mało znany poeta“, był słynnie brzydki. Stwierdza to dwukrotnie jego rodzony szwagier (w Wielkopolsce mówi antygermańsko: dziewierz) Tadeusz Bobrowski: „miał na wsi ustaloną reputację brzydkiego“, „kobiety pociągał swoją brzydota“, dodaje przytem: „oryginalnością i talentem“. Na czym polegała ta oryginalność i w czym się talent okazał, powoli się dowiemy, oparci na materiale pamiętnikarskim, przed i po r. 1863 dość obfitym.

Przedewszystkiem, oczywiście, genealogja po mieczu i po kądzieli. Mówi się: po mieczu w tym wypadku słusznie ściśle, gdyż ojciec, ziemianin ale „wysadzony z siodła“, służył w wojsku polskiem już przed r. 1807 jako porucznik a kapitanem został w trzydziestym pierwszym. W tym charakterze i z tą „dystynkcją“ spodobał się pannie Dyakewiczównie, która w posagu dostała mająteczek pod Winnicą, zdaje się, Łuczyńce, w szybkim tempie potem przepuszczony. Wtedy to kapitan, wiano normalnie po kapitańsku roztrwoniwszy, dostał w administrację duży majątek Korytna, wieś rządową, skonfiskowaną Jagiełłowiczom. W tej Korytniej już dobrze i umiejętnie gospodarzył.

O familji ojca i matki Apolla wiadomości bardzo imponujących pod ręką niema. Jeden z braci kapitana, napoleończyk, po trzydziestym pierwszym „przebywał“ w Rosji, poczem wrócił i kręcił się przy rodzinie, scharakteryzowany jako „antypatyczny egoista“, „samotnik“, „dziwak“. Jedna z ciotek wyszła za Hiacynta Colonna-Czosnowskiego, który po jej śmierci ożenił się powtórnie z panną Żeromską. Prawdopodobnie i... Conradowi i Żeromskiemu podczas ich rencontre'u zakopiańskiego (sierpień 1914) ta drobnostka genealogiczna albo nie była znana albo wypadła z pamięci.

O ojcu kapitanie (zaczem Conrada dziadku) pamiętnikarz, szwagier Apolla, mówi twardo i z małym respektem. „Bił się dobrze“ ale „ciasnej głowy szlachcic“, „utopista“ i „łgarz“, „przekonany, że był i pierwszym wojownikiem w Europie“ i „pierwszym gospodarzem“ i „najzasłużeńszym mężem w kraju“ i „wielkim politykiem“ i „jedynym patryotą“. „W domu despota, żona „zahukana“, synowie dojrzałi traktowani jak mali chłopcy i łajani od głupców. Ale że „dla siebie samego niemałe miał uznanie“, więc coram publico i dla tych „głupców“ synów „żywił admirację“. Było ich trzech: Hilary, Robert i Apollo, wszyscy trzej wielorako uzdolnieni.

O najstarszym Hilarym, który jeszcze przed powstaniem wysłany był do Tomśka, wyraża się kuzyn Bobrowski jako o „spekulancie“ i imputuje mu „złośliwość“. O drugim zrzędu Robercie podaje szczegóły fatalne: „karciarz“, „pijak“, „niemało do upadku rodziny przyczynił się“. Jak wielu wówczas nieudanych synów, „letkiewiczów“, lumpów i skrachowanych egzystencji, ekspiował to współudziałem

w powstaniu, w którym bohatersko zginął. W rok po jego śmierci umarł może i ze zgryzoty capitano pater familias.

Apollo, najmłodszy brat „spekulanta” Hilarego i „karciarza” Roberta, którzy atoli dość ciężkie chyba ofiary na ołtarzu ojczyzny złożyli, urodził się, zdaje się, w samej Winnicy a nie w Korytniej, w każdym razie dzieciństwo upłynęło mu w Winnicy. Po skończeniu gimnazjum w Żytomierzu zapisał się na uniwersytet petersburski, gdzie uczęszczał na wydział języków wschodnich (1844, 1845 i 1846) i gdzie nauczył się rzekomo... języka arabskiego, ale „gruntownej, w jakiegokolwiek gałęzi” wiedzy nie posiadał a tylko zaprawiał się i zabawiał literacko, pisząc wierszyki okolicznościowe i patriotyczne strofki, mniej drukowane, a raczej w odpisach i sztambuchach między studenterją kursujące. W tych to latach portretował go Szczyt, pono bardzo uzdolniony amator. Nie dokończywszy żadnych studjów, wraca Apollo na Wołyń, pomaga ojcu Teodorowi w gospodarstwie, wyjeżdża razporazu to do Kijowa to do Żytomierza, bierze udział w życiu towarzysko-bałagulskiem, jeździ od dworu do dworu i wreszcie zakochuje się całkiem normalnie.

Bogdanka jest od niego omal o dziesięć lat młodsza. O tę pannę stara się czyli „atentuje” siedem lat z pewnemi przerwami.

Rodzina wybranej, znacznie bardziej interesująca, nosi się wyżej i produkuje oryginalniejsze odmiany sarmackiej fauny kresowej. Jedni jeszcze siedzą po majątkach, inni już pracują w kadrach inteligencji miejskiej (Humań, Berdyczów, Lipowiec). Jedni przeszli do rządowej służby i doszli do wielkich stanowisk, inni doszli daleko... na Sybir. Matka panny Eweliny Bobrowskiej z domu aż Biberstejn-Pilichowska, a babka Poradowska. Stąd szerokie koligacje z Syroczyńskimi i Florzkowskimi, Kołyszczkami i baronami Taube; dwaj znani nam dobrze w Warszawie baronowie Taube, t. j. Gustaw (ożeniony z Kronenberżanką, członek Komitetu Narodowego w r. 1915), oraz Roman (opisany przez niżej podpisanego w „Walcu barona Molskiego”) byli taksamo pupilami Bobrowskiego jak J. K. Korzeniowski. Dwaj „zimni dziadkowie” Poradowscy, bracia babki Apollina, dosłużyli się wysokich rang w wojsku rosyjskiem, co i dla Conrada nie mogło być tajemnicą. Starszy Aleksander, generał artylerji, był faworytem wielkiego księcia Konstantego w Belwederze (1868) a drugi, Karol, generał kawalerji i kawaler wielu orderów austriackich, pruskich, ruskich, — faworytem feldmarszałka Paskiewicza. Ten to Poradowski z Paskiewiczem brał udział w kampanji węgierskiej, i przed nim to składał broń zdrajca kapitulant gen. Georgy. Pułk Poradowskiego należał do najlepszych, najwierniejszych cesarzowi i najbardziej w wojnach odznaczonych. Obaj Poradowscy mieli wielkie wpływy i wysokie przyjaźnie w Petersburgu; w rodzinie uchodzili nieco za kondotjerów i odszczepieńców, ale z którymi się nie zrywało stosunków. Siostra ich (prababka Conrada) rozwiodła się z mężem,

mieszkała we Lwowie; w Galicji też mieszkał „zimny” pradziadek Pilichowski, kapitan wojsk polskich, legendarny skąpiec, który dożył do 1880 r.; ten z rodziną nie zerwał i na ten przykład na wesele Bobrowskiego przyjechał.

Bardzo interesującą figurą był „pater familias” Bobrowskich, taki sam despota domowy jak kapitasio Teodor Korzeniowski, legendarnie złośliwy i sarkastyczny (jak i wuj Korzeniowskiego) dziedzic Terchowa pod Berdyczowem, który na całe sąsiedztwo oraz na rodzinę matki i żony koncytował ulotne, jadowite wierszyki, w licznych odpisach kursujące. Adolf Pilichowski wuj skazany był do Orenburga jeszcze przed powstaniem w r. 1861, do kraju wrócił dopiero w r. 1864 a umarł w r. 1874, już po śmierci Apolla.

Z rodzeństwa pani z Bobrowskich Korzeniowskiej siostra starsza wyszła za patriotę i działacza Zaleskiego; braci było trzech: Stanisław, Tadeusz i Stefan. Stanisław poszedł linią życiową Poradowskich, wstąpił do wojska rosyjskiego i dosłużył się wysokiej rangi w huzarach grodzieńskich. Tadeusz wybrał drogę cywilną, obywatelską, normalnie ziemiańską, społeczną: był umiarkowanym, postępowym torysem i honorowym sędzią powiatu lipowieckiego, nadto prezesem, wiceprezesem i t. p. Trzeci zaś Stefan wprost przeciwnie do tamtych, skrajnie rewolucyjny, linja raczej Pilichowskich, działacz wichrowaty a niepożyty, bohater, charakter wskroś romantyczny ale koniec tragiczny; los jego zasługiwał na szersze omówienie, więc są o nim nawet broszurki. Z ciekawszych szczegółów rodzinnych dodać jeszcze można, że matka Apolla, która przez siedem lat przeleżała w łóżku wespół sparaliżowana, przypadkowo odzyskała władzę i zdrowie i przeżyła potem dwie córki i dwóch synów (zmarła w r. 1875 w Krakowie). Najważniejszym tuzem rodzinnym był, zdaje się, bardzo majątny ugodowiec, szambelan Poradowski z Palczy.

Kiedy Apollo (bardzo nie apolliński) zaczął się starać o pannę Ewelinę Bobrowską, cała rodzina panny była przeciw niemu. Panna jeszcze młodzieńka też nie żywiła skłonności. Papa jej nie widział w Apollu żadnych kwalifikacyj na zięcia, bo „mieszkał u ojca, niczem nie zajmując się i nic nie posiadając”... „nie był do pożądanego”. Z powodu towarzyskich zalet atoli starzy Bobrowscy lubili go bardzo a już szczególnie pani matka. Dostając od bogdanki odkosza razporazu, Apollo obraził się i wycofał a nawet z tych stron wyprowadził na Podole. Skorzystał z propozycji przyjaciela swego Aleksandra Sobańskiego i wziął w zarząd dobra jego matki, Melanji Sobańskiej, żony emigranta: Derebczyńce. I wtedy zaczyna się równocześnie z większym zapałem oddawać znów literaturze, czyli pisaninie. Przedewszystkiem tłumaczy, „Oczytany bardzo w *lejszej* francuskiej i polskiej beletrystyce”, jak komentuje Bobrowski, zaczyna tłumaczyć naprzemiany Heinego i Victora Hugo. Zawiązuje też teraz mocne kontakty z piszącymi, z radykałami szlacheckimi, przedewszy-

stkiem z dawniej zawieszanej kijowskiej „Gwiazdy”. Tym przewodzi Albert Jaxa-Marcinkowski (Gryf), polemizujący zażarcie z retrogradami z byłej pentarchji petersburskiej, z Kzewuskim i z Grabowskim. Stefan Buszczyński wciąga go do swojej „Niwy Rodzinnej”. Za cel sobie kładą zgalwanizowanie, zintelektualizowanie i rozbudzenie znów ducha narodowego w hreczkosiejskiem, buraczanem, bogaczącym się a bezmyślnie wegetującym ziemiaństwie, równocześnie walczą też o radykalne reformy w sprawie włościańskiej. W tym „ruchu” ideowym biorą gorący udział Żeligowski Antoni („Sowa”) autor „Jordana” i... „Nocznik”... (czyli nokturnów), trzej bracia Krzywicy, Tytus Szczeniowski („Blepoński”), Władysław Tadeusz Rakowski, (później rozstrzelany), Platon Krzyżanowski (rozstrzelany), Padlewski (rozstrzelany). Wielu z tych pierwszych „ruchowców” idzie potem na Sybir do *Ołoniecka* wtedy, kiedy Austrija znów pakuje swoich Polaków do... *Ołomuńca*. Inni pokutują za swoją młodość w fortecy kijowskiej. Małe miasteczko Żytomierz staje się centrum agitacji i konspiracji.

Z rodziną Bobrowskich Apollo utrzymuje atoli stałe stosunki. Na wesele Tadeusza z panną Lubowidzką (1858) pisze zabawnie patetyczny wiersz okolicznościowy. Wreszcie, kiedy zmarło się ojcu panny, Apollo dobija swego i po siedmiu latach staje na ślubnym kobiercu z Bobrowską w kościele w Oratowie. Jest już wtedy także autorem dramatycznym, granym, co tu gadać, i w Żytomierzu i w Kijowie! Leonard Sowiński przed nim popisał się wściekle antyarystokratyczną satyrą sceniczną „Na Ukrainie” a dziedzic z Derebczyniec równie ostrą i surową komedią „Dla miłego grosza”. Kandydaturę jego do siostry musieli popierać obaj, bracia Stefan i Tadeusz. Tadeusz, uchodzący w rodzinie za „retrograda”, realistę i antyromantyka, orjentującego się raczej konserwatywnie, nie dał się zrazić i nastraszyć czerwonością autora „Dla miłego grosza”, gdyż rewolucjonizm Apolla traktował jako całkiem powierzchowny i nieszkodliwy i tak to charakteryzował:

„Chociaż miał siebie za demokratę szczerego, a inni mieli go za ultrasa i za „czerwonego”, było w nim sto razy więcej „żyłek szlacheckich” — jak mu to nieraz dowodziłem — niż we mnie, którego ani on, ani inni o demokratyczne przekonania nie posądzali. W rzeczy samej miał on bardzo czułe i miękkie serce, a stąd dużo współczucia dla biednych i uciśnionych, i dlatego zdawało mu się i innym, że jest demokratą. Tymczasem były to tylko porywy serca i myśli „dobrze urodzonego Nałęczca”, ale nie przekonania iście demokratyczne. Nigdy nie mogłem dojść ostatecznego składu jego przekonań politycznych i społecznych, oprócz mglistego pociągu do Rzeczypospolitej jako formy, a w niej coś równie mglistego per modum praw zagwarantowanych konstytucją 3-go maja, co na nasze czasy już było za mało. W kwestji włościańskiej naprzykład wahał się co do

uwłaszczenia; sympatyzował (z moją myślą w tej kwestji, jeszcze w r. 1854 wypowiedzianą), ale obawiał się i twierdził, że wypowiedzieć ją chyba mogą ci, którzy posiadają ziemię”.

Trzeba ten szczegół dobrze sobie zapamiętać i mieć na uwadze, aby sobie pewne rzeczy i w późniejszym jego życiu i w Conradzie wytłumaczyć.

Popierał jego kandydaturę do ręki siostry i drugi brat, Stefan, antypoda ideowa Tadeusza, popierał znowuż z całkiem innego powodu, gdyż jako rewolucjoner „enragé” dopatrywał się znów w Apollu swoich rysów i wierzeń i widział w nim chłopomana, „hugenotę” i ruchowca di primo cartello. Teściowa znowuż zaczęła genialnego literata w familji obdarzać pełnemi faworami, przepadała za jego towarzysztwem i konwersacją, asystowała przy narodzinach światowej gwiazdy klanu Nałęczów i protegowała (typowa Pilichowska) przeniesienie się małżeństwa ze wsi do Żytomierza, kiedy... Konradek miał już lat trzy.

Tutaj to w Żytomierzu musiał... Mickiewicz hustać na kolanach przysiężego autora „Lorda Jima”. Oczywiście, nie nieboszczyk ojciec, ale syn Władysław, który wtedy na jakiś czas znalazł się i w Żytomierzu jako... emisariusz. Był młodziutki, mówił źle po polsku. Jechał niby do Charkowa do stryja, do mocno zmoskalonego profesora Aleksandra Mickiewicza, który potem osiadł tu w Kobryniu. W gruncie rzeczy wydelegowała go Centralizacja Paryska, aby wśród bogatej szlagonerji zebrał fundusze na wielki dziennik francuski w Paryżu, broniący polskich interesów. Wysłali go z Kijowa wprost do Korzeniowskich czerwoni działacze, szwagier Zaleski (z drugą Bobrowską ożeniony) i brat Apollowej, Stefan. Mickiewicz musiał głównie przesiadywać czy też ukrywać się u Korzeniowskich, gdzie zbierały się czerwienie, podczas, gdy w apartamentach bliskich kuzynów mecenasa Poradowskiego (z Zagórską ożenionego, ojca paryskiej powieściopisarki) — zapewne ugodowcy i retrogradzi. Z bardziej znanych w późniejszych dziejach postaci byli tam wtedy: Adam Pietkiewicz (Pług), Zygmunt Sierakowski, kolega gimnazjalny Apolla, powieściopisarz Jaxa-Bykowski, Walerjan Wróblewski, późniejszy generał komuny, sybirak, i J. Ign. Kraszewski. Incognito paryskiego ultrasa wnet się jednak wydało, i Mickiewicz nawet jakiś czas posiedział w fortecy kijowskiej, szybko wypuszczony i przeproszony. W ruchu reformistów agrarnych (wywłaszczenie za indemnizacją w terminie lat trzydziestu trzech), czemu orędowną wtedy w licznych prelekcjach dla ziemian szwagier Bobrowski, Apollo Nałęcz żadnego udziału nie brał, jak również nic nie miał wspólnego z t. zw. „Złotą Hramotą”, kolportowaną po wsiach i siołach przez kijowskich akademików, szlachciców czerwonego pomazania. Pod rok 60-ty bowiem rozbudziła się w nim (może po stryju Robercie?) żyłka spekulacyjna, związana zresztą z literaturą i z idealnemi celami. Chodziło o zgalwanizowanie, zinte-

lektualizowanie i rozbudzenie ducha narodowego u buraczanych latyfundystów. Tym razem więc kooperatywa literacka, handel książkami i kolportaż po dworach na ziemiach „zabranych”. Zebrano więc fundusze odpowiednie, za 20 000 rb. kupione dwie księgarnie Glücksbergów w Kijowie i w Wilnie, na czele stanął bogacz Kaczkowski, wśród członków wybitnych Kraszewski, Berezowski, mecenas Poradowski, mecenas Budzyński, retrograd, przyjaciel Rzewuskiego, tłumacz Schillera i Byrona. Prowadzić mieli przedsiębiorstwo poeta Groza (panie Grozo, lepiej prozą) i młody żonkoś Apollo Nałęcz, w owych czasach dla odmiany piszący jakoweś poematy natchnione w stylu... Zygmunta Krasińskiego.

Niedługo trwała ta kooperatywa i jej pismo „Biblioteka Domowa”, gdyż pożarli się prezes Kaczkowski ze znakomitym Kraszewskim, a przedsięwzięciu wnet kijowski generał-gubernator łeb skrzył w momencie gdy bankrutowało. Wtedy to powstał u małżonków Korzeniowskich plan przeniesienia się do Warszawy, w samo centrum literatury i... przygotowującej się rewolucji, plan, który chyba gorąco protegowała ruchliwa teściowa. Tam należałoby założyć coś w guście „Revue des Deux-Mondes”, albo może i codzienne pismo, „Słowo” może się nazywać czy „Kraj”. Wszyscy co wybitniejsi kresowiacy już się tam przenieśli, o ile ich nie przeniesiono... na Sybir, par exemple nawet Aleksandra Branickiego, ożenionego z hr. Szwałów. Szwagier Tadeusz prawdopodobnie odradzał, wiedząc co się tam święci nad Wisłą i przygotowuje, ale musiał znów doradzać szwagier Stefan, dwudziestoletni gorączka, który niedawno z cytadeli kijowskiej uciekł i na nadchodzące wybuchy i rozruchy tylko czyhał (krew Pilichowskich). Za Warszawą przemawiało i to, że tam w Warszawie już osiadło wielu „swoich” („najazd barbarów”), swoich ze Wschodu. „Tam łatwiej będzie wślawić się literacko Apolciowi — musiała mawiać ambitna teściowa. Miała na oczach przykład jednego już Korzeniowskiego, najznakomitszego i najpopularniejszego w Warszawie teatralisty i beletrysty, radcy stanu, Józefa, a nie brała pod uwagę (co ważne), że Józef był z Galicji, zaczem rozważny i ostrożny, a Apollo z południo-wschodu, zaczem romantyczny, nie zrównoważony, nietrzeźwy. Dla takich zaś wulkanowy teren Warszawy z 1861 r. w najwyższym stopniu był ryzykowny...

Zjechali tedy do stolicy: nieodstępna babcia, wnuczek, chrześniak Kraszewskiego, Apollo Nałęcz i Ewelina z Bobrowskich. I odrazu wpadli w wiry i gejzyry. Jakaż śpiącą dziurą wyglądał stąd Żytomierz z jego salonami politycznymi, z jego cichemi, demonstracyjnymi nabożeństwami za poległych, z jego ciągłymi kłótniami literackimi jeszcze o... Rzewuskiego, z jego literatami śpiącymi, z jego „polskimi pomieszczykami”, targującymi się z sobą nazabój o to co już dać chłopom a czego jeszcze nie. Jakaż dziurą zakazaną wobec

tej Warszawy rozfalowanej, rozgorączkowanej, rozdemonstrowanej, dzień w dzień manifestującej!

Przyjechali w maju 1861 r., i Korzeniowski odrazu znalazł się w najosobiściej swoim żywiole, tem bardziej że pilotowali go wśród... hugenotów i ruchowców sami swoi z kresów: Wereszczyński, Szachowski, Wasilewski, Sowiński. Szkodziło mu w stosunkach z czerwonymi jedynie nazwisko, które tutaj wślawiło się nietylko pisaniem, ale jeszcze więcej skrajnem wstecznictwem, ugodowością, lojalnością i służbą rządową. Podobnie jak Józef Korzeniowski, prorządowcami byli inni świetni pisarze, Skarbek i Faleński, nie mówiąc już o nieobecnych Odyńcach, których za zaprzaństwo i cezaryzm zgromił bezlitośnie ultrapatryjota i ultraantagonista antysemickiego caratu: Julian Klaczko. Korzeniowskiego Józefa także tenże archisarmata Klaczko zaczepił, karcąc idee w powieści „Krewni” szerzone, za co znów Korzeniowski, rewanżując się, potężnie obsmarował go jako Centaurowicza w „Złotykh kajdanach”. W Warszawie czerwonego roku 1861 ten niedawny publiki faworyt, autor „Tadeusza Bezimiennego”, teraz ani faworytem ani popularnym nie był. Mocno musieli państwo Apollostwo wśród swoich czerwieńców akcentować, że nic a nic wspólnego nie mają z radcą stanu Korzeniowskim, z krzemieńczaniniem ale spod... Brodów. Wspólnie mieli Apollo i Józef tylko to, że obaj byli hugenotami, t. j. wielbicielami Victora Hugo, ale podczas gdy Apollo stanął odrazu wśród spiskujących... hugenotów, Józef był najtypowszym „millenerem”, t. j. jednym z tych co niepodległość i zmartwychwstanie państwa odkładali aż za lat tysiąc (mille). I jak u Józefów zbierali się we czwartki najznakomitsi starej daty biali i białe, tak w mieszkaniu nieznanego tu szerszym kołom Apolla zaczęła gromadzić się czerwona młodź, korsykanie, karbonary, garibaldczyki, przywódcy studenterji, szefowie i hersztowie „kófek”, często „smarkaczami” nazywani. Ale był ruch, było życie, otwieranie i zamykanie, sesje, spory, afery, „kipiatok” ideowy. Dla babci Bobrowskiej, née de Biberstejn-Pilichowskiej, w to graj.

Na zamku po Górczakowie, po Suchozanecie rezydował prokonsul, „damskij kawalir”, elegancki Lambert. Miastem rządził von Gerstenzweig a na wysokich stanowiskach cywilnych i wojskowych wszędzie sami Niemcy kurlandzcy, estońscy i pruscy. Zamiast wydawać polską „Revue des Deux-Mondes”, Korzeniowski od sierpnia prowadził tajną bibułę „Strażnicę”. Zamiast tłumaczenia Victora Hugo rzuca się we wszystkie poczynania... hugenockie i w organizację najskrajniejszych ruchowców. Dla zewnętrznego zaznaczenia swej demokratyczności ubiera się w baranią ludową czapę. Jeszcze w pierwszych miesiącach urządza zebrania „adresowe” w znanej manierze adresów wprost do cara, tym razem zresztą ze wskroś „imperjalistycznym” programem przywrócenia i przyłączenia natych-

miast „prowincyj zabranych”. Potem po kilku miesiącach demonstrowania już idą dalej w „radykalizmie”. Żadnych postulatów, żadnych reform, żadnej poprawy stosunków, „tylko im gorzej tem lepiej” i fora ze dwora (z Zamku). Historyk tych czasów Berg, w swoich „Zapiskach” dużo miejsca Apollowi Nałęczowi poświęcający, pisze: „Na obradach manifestantów zachodziły między stronnictwami żarliwe kłótnie, w jednej z nich między partją Korzeniowskiego omal nie przyszło do krwawej rozprawy”.

Manifestanci śpiewają pieśni patriotyczne po wszystkich kościołach i zamawiają msze żałobne. Wybijają szczyty tym kupcom, którzy nie dają składek na cele propagandowe (cukiernia Clota, piekarnia Bartla, destylarnia Hackebeila, hotel Saski, Wedel na Miodowej). Korzeniowski jest wszędzie od świtu do nocy i rozwija niepożytą energję. Mały jedynaczek Konradek dlań nie istnieje; tym opiekuje się głównie babka, gdyż matka ciągle zapada na zdrowiu. Wrogów ma Apollo coniemiarą, głównie w obozie własnym wśród konkurentów na przywódców, którzy rozprzestrzeniają o nim niestworzone kalumnje. Berg cytuje dwukrotnie, że „podejrzewano Korzeniowskiego o stosunki z rządem”, że „zachowanie jego w niektórych wypadkach było istotnie dziwne”, że kiedy chciał stworzyć Towarzystwo Czarnych Braci, nie dopuszczono do tego, bo „wzięto go za szpiega”. Utworzył natomiast tych „Czarnych Braci” Adam Prot Asnyk, poeta i student z Wrocławia, który zresztą wnet aresztowany (za manifestację z gimnazystami w kościele św. Krzyża) uciekł z więzienia do Krakowa, aby tu potem przez całe życie chodzić w aureoli powstańca i bohatera. Z innych literatów, którzy w tym roku „demonstracyjnym” stykali się często z Apollem Nałęczem, przypomnieć się godzi Wolskiego (libretto do „Halki”) i Syrokomlę, lirycznie skomlącego przy łada patriotycznej okazji a wdzięcznego Korzeniowskiemu za to że tenże jeszcze w Żytomierzu wziął w obronę jego drumlę liryczną, polemizując nieco wulgarnie ze świetnym krytykiem Grabowskim.

Najwyższe w tych miesiącach wyczyny agitatorsko-rewolucyjne naszego czerwieńca z Żytomierza, to była opozycja przeciw wyborom do rady miejskiej i zahamowanie tych wyborów, kontrowersja publiczna z Andrzejem Zamoyskim, przemawiającym z balkonu, no a wreszcie organizacja już istotnie wielkiej i historycznej demonstracji, t. j. zjazdu w Horodle, dla uczczenia 448-ej rocznicy unji horodelskiej i dla przypomnienia związku Polski z Litwą i z Rusią. Zaśługę tej manifestacji dzieli Korzeniowski tylko z księdzem Ławrysiewiczem i z poetą Karolem Brzozowskim; historyczną odezwę z dn. 10 października skoncyrował sam Korzeniowski.

Tego atoli było już Moskalom a raczej Niemcom rosyjskim za dużo. Dn. 14 października 1861 r. ogłoszono stan oblężenia w Warszawie, a już 21-go aresztowano tysiąc kilkaset działaczy, wśród

nich słynnego szewca, patriotę Hiszpańskiego, poetę Wolskiego i literata Apolla Nałęcz-Korzeniowskiego. Zona z matką i z dzieckiem zostały teraz w obcym mieście z prawem odwiedzania męża raz na miesiąc i na krótko. Ówczesnym zwyczajem musiały poruszyć niebo i ziemię i zapewne kuzynów Poradowskich i Lubodzieckich dla interwencji, ale nie pomagało. Sądzony był w cytadeli przez trybunał, na którego czele stał gubernator wojenny Warszawy, płk. Roźnow, kolega pułkowy... szwagra Stanisława Bobrowskiego... z grodzieńskich huzarów. Skazany został na osiedlenie „w dalekich gubernjach“ i wysłany do Wołogdy, przyczem pozwolono towarzyszyć mu żonie wraz z czteroletnim synkiem.

I teraz jest z tej podróży „polskim utartym szlakiem“ pewien szczegół tak ważny, że trzeba go przytoczyć w dosłownej relacji szwagra Bobrowskiego z jego „Pamiętnika“: „W drodze na przedostatniej przed Moskwą stacji rozchorował się Korzeniowskim synek, a gdy eskortujący ich żandarmi zatrzymać się odmówili, zrozpaczeni rodzice oświadczyli, że chyba siłą zmuszą ich do dalszej podróży. Jakiś ludzki podróżny jadący do Moskwy przyrzekł im posłać lekarza, a Korzeniowski, przypomniawszy sobie, że ma w Moskwie znajomego dra Młodzianowskiego, profesora uniwersytetu, który kiedyś był jego korepetytorem w Winnicy, wezwał go za pośrednictwem owego uczynnego podróżnego. Jakoż wkrótce nadszedł zacny eskulap i odratował **dziecko z ciężkiego zapalenia mózgu**, a posiadając rozległe stosunki w Moskwie, wyrobił kilkodniowe powstrzymanie podróży, zanim dziecko znieść ją mogło“.

W Wołogdzie gubernatorem był humanitarny liberał, b. marszałek szlachty jednego z powiatów gub. mohylewskiej, Białorusin Chomiński. Kolonja składała się z 21 mężczyzn, przeważnie księży, Ewelina Korzeniowska była 22-gą osobą, synek czteroletni Konrad 23-cią. Ponieważ warunki klimatyczne okazały się jednak niedozniesienia. z Wołogdy pozwolono im, nawet bez eskorty, a na słowo grażdzańskie, przenieść się do Czernihowa. Ponieważ dalej pani Korzeniowska mimo tego zapadała na zdrowiu, pozwolił jej gubernator ksiązę Golicyn na jakiś czas wyjechać do Nowofastowa, do brata Bobrowskiego Tadeusza, któremu wcześniej zmarła żona. Po kilku miesiącach rekonwalescencji w kraju musiała pani Korzeniowska wracać do męża i dziecka, i tym razem towarzyszyła jej matka, która wielką porcję tego całego bigosu życiowego swej córce uwarzyła.

W pierwszym roku długiego pięcioletniego wygnania zmarła młoda Korzeniowska, nie zaznawszy wielkiego szczęścia z tym Apollem i zostawiając sierotkę na opiece babki. W r. 1867 dostaje wdowiec, zgębiony i złamany doszczętnie tem wszystkim, pozwolenie na wyjazd leczniczy, na Maderę lub gdzieindziej, oczywiście, pozwolenie nie bez użycia wszelkich możliwych protekcji, poruszonych przez tych krewnych, którzy się trzymali pańskiej, rządowej kłamki

i ratowali egzystencję rodziny po straszliwym historycznym pogromie. Nie wstępują do żadnych kuzynów po drodze, bo zakazano, ale jadą we troje wprost do Lwowa, gdzie mieszkają przez zimę r. 1867, poczem przenoszą się we troje do Krakowa i zamieszkują przy ul. Poselskiej w „pałacu” „hrabiów” Hussarzewskich.

Biedny, stary, a raczej przedwcześnie postarzały, Apollo ma tu jeszcze szczęśliwym trafem swoich spod Winnicy, Żytomierza, Berdyczowa, podobnych do niego wygnańców rozbitków. Jest Stefan Buszczyński, prof. Kopernicki, dr. Marceli Dobrowolski, kilku kijowian, kilku sybiraków. Dzieckiem opiekuje się babka. Chodzą w konfederatkach i wyglądają z ruska. Apollo próbuje coś pisać, coś komponować, coś tłumaczyć. Naturalnie nie żadnego Szekspira i nie coś z angielskiego (gdyż po angielsku nigdy nie umiał) i nie z Chattertona ale... „Chattertona”, dramat Alfreda de Vigny. I Victora Hugo „Pracowników morza”. W życiu intelektualno-literackiem Krakowa nie odgrywa Korzeniowski omal żadnej roli, aczkolwiek coś tam pisuje i do ówczesnego „Kraju” krakowskiego i gdzieindziej. Wreszcie po niecałym roku męki, schorowany, w maju 1869 r. umiera.

Czy Korzeniowski wiedział, że w tym Krakowie, w tym hotelu Saskim, gdzie mógł bywać u znajomych, rozegrała się bolesna tragedia jego przyjaciela i szwagra, młodziutkiego Stefana Bobrowskiego, rzecz to wątpliwa. Cała prawda o tym tragicznym bohaterze wyszła bowiem znacznie później na światło dzienne. Opisał ją szczegółowo Rawita-Gawroński w broszurce p. t. „Stefan Bobrowski a dyktatura Langiewicza”. Szwaگیر Apolla, Stefan, który przed 1880 r. wywierał nań wielki wpływ, dzięki urokowi swej żarliwości patriotycznej i moralnej czystości, rozagitowawszy do powstania dużą część akademickiej młodzieży kresowej, później członek Tymczasowego Rządu Narodowego, w r. 1863 znalazł się w Krakowie, gdzie roztoczył gwałtowną propagandę przeciw dyktaturze Langiewicza. W obronie tegoż stanął młody hrabia Grabowski. Do pojedynku nie przyszło, ale odbył się sąd honorowy w hotelu Saskim, w którego konsekwencji Stefan Bobrowski, zdaje się, sam pozbawił się życia.

Nie mógł jeszcze wiedzieć szczegółów tej tragicznej pomyłki Apollo, przyjaciel szwagra zmarłego. Musiał je natomiast poznać, bo musiał się o nie wywiadywać brat zmarłego, Tadeusz, kiedy ze swej Kazimierówki pierwszy raz w r. 1873 do Krakowa zawitał, aby opiekę nad osieroconym chłopczyną roztoczyć.

W starodawnym Krakowie została o Apollu Korzeniowskim wśród ludzi starej daty legenda jako o conieco „Tymonie Ateńczyku”, o posepnym, uciążliwym, bo retorycznym, patetycznym, zgryźliwym mistyku, niezwykle surowym w ocenie wszystkich „wielkich ludzi”

z r. 1863, znanych nam z fotografii Beyera i z albumów, dziś już relikwijnych i rzadkich.

O dawnym Korzeniowskim sprzed zesłania i z Wołogdy Bobrowski pisze: „Złośliwość jego była tylko słowna i salonowa, bo ani w uczuciach ani w czynach nigdy jej nie dostrzegłem. W uczuciach gwałtowny, wylany i szczerze kochający ludzi, w czynach niepraktyczny a często niezaradny nawet. W mowie i piśmie często nieubłagany, w życiu codziennem nieraz aż nadto pobłażliwym bywał, snąc dla równowagi, jak mu to nieraz dowodziłem, jak niemniej i to, że miał dwie wagi i miary dla maluczkich i głupiutkich i dla wielkich świata“.

Na innym miejscu jeszcze raz dodaje Bobrowski szczegóły charakterystyczne o tej Apolla złośliwości: „Mężczyznom zaś podobał się łatwością rozmowy i uprzejmością, staropolską uwagą na starszych, delikatnością względem młodszych, bo jak powiedziałem, gwałtownym i gorzkim bywał tylko z piórem w rękę, a złośliwej rozmowy tylko z kobietami w granicach wszelkiej przyzwoitości. Dla publicznej, że tak powiem, złośliwości swojej wybierał osobne ofiary wśród osób, które albo jego samego w czemkolwiek uraziły, albo które wogóle rozdęte były majątkiem i póżycją“.

To sympatyczne!

Co do literackich i artystycznych walorów jego drobnego i skąpego dorobku drukowanego, dyskusja jest jeszcze otwarta i czeka na jakiegoś specjalistę-polonistę. Historycy literatury zbywają go najlakoniczniejszymi wzmiankami i wymieniają bagatelnie „w rządku“. Chlebowski przemilcza a Bartoszewicz zaznacza tylko: „znakomity tłumacz Victora Huga“. Już to jednak oznaczałoby dość dużo, skoro wśród hugonotów, tłumaczy i entuzjastów, są takie firmy firmamentowe jak Norwid i Faleński, jak Deotyma, Pług, Kaszewski. Bobrowski, meloman literacki ale koneser, twierdzi, że jako tłumacz Victora Hugo był „niezrównany“, gdyż „wcielać się umiał“ w styl i fakturę autora „Nędzników“ i „Ostatniego dnia życia skazańca“.

Przez znane tylko w rękopisach „Siedem słów z Krzyża“ Korzeniowski wedle opinii swego szwagra „do rzędu najudatniejszych naśladowców Krasieńskiego zaliczony być może“. Szekspira musiał tłumaczyć z francuskich transkrypcyj. „Lust zum Fabulieren“, czyli żyłkę do imaginowania, fantazjowania, rozprowadania, miał tym razem nie po matce ale po ojcu, aktywność i wojowniczość — po wszystkich po mieczu. Literat nieszczególny i trzeciej gildy, ale człek interesujący, nieprzeciętny, nie szarak. W każdym zaś razie tłumacz „Pracowników morza“ ojcem był autora „Zwierciadła morza“. No i co się w życiu wycierpiał to się wycierpiał. My mniej.

Adolf Nowaczyński

ANIOŁOWIE

Kto nachylił się czule z pomocą,
Kiedym wołał o ratunek nocą?
Nikt.

Kto o smutku moim popamiętał,
Kiedy byłem błędny jak zwierzęta?
Nikt.

Kto wołaniem świętem i zwyciężkiem
Wyrwał serce moje z domu kłęski?
Nikt.

Aniołowie? Oni zdala stali
Na pagórku za oknem wyniosli,
I z pogardą na mnie spoglądali —
Aniołowie biali w cieniu sośnin.
Oni, co w dniu każdym mego szczęścia
Nie opuszczą mnie na chwilę nawet
I mieczami grożą mi i pięścią,
Przeklinając mych grzechów bezprawie.
Aniołowie biali w cieniu sośnin
Nie pomogli mi w mej bezradności —

Kiedym błagał, rzekli twardo: „Rośnij!”
I zniknęli.

MORZE CZARNE

Rano tutaj gra słońce krzykliwe
Pożądliwe melodje orientalne.
Jak miedziane instrumenty dźwięczy
Ponad głową powietrze upalne.

Dziwisz się, że nagle drzewa, domy
Nie zatańczą wschodnio i zmysłowo
I do wtóru melodyjnym falom
Wzgórki nie poruszą się miarowo.

Ale w nocy morze przeraźliwe
Jękiem głuchym chaosu wybucha —
I nie możesz usnąć przerażony,
I przy oknie zbladły z strachu słuchasz.

Monotonny poszum jęczy płaczem,
Twoim płaczem, jękiem twych wnętrzości —
I z przestraczem widzisz: oto nagle
Chaos twój chaosem morza rośnie. *

Z oczu trysną nierozumne łzy,
Wargi głuchym szlochem się zakrztuszą —
I już nie wiesz, czy to morze jęczy, czy to ty,
Morze morską, czy ty ludzką duszą!

Wojciech Bąk

Gdzieś blisko
pysk wichury jak miech odsapnął.
I już smagłe wikliny — napłask.
Kudły chmur — — — nisko.

Jeżą brzegi szczecinę łóz brwi.
Pluskiem o burty portu uderza Wisła.

Aż zzieleniała woda. Nurt się zmarszczył
w brózdy.

Wre.
W topieli — jak w garnku barszczu.
Wrzątkiem w oczy parska,
jakgdyby
garścią w ukrop sypnął kto soli.

Kłusują siwych wełn grzywy
niczem po Mokotowskim Polu.

Wtem —
wiatr płomień z chmur karku zdarł,
wyczesując pęk złotych włosów.
I chlust ogniem w kipiący war,
aż zaskwierczał djabelski rosół.

Znów.
I salwy łoskotem się zwałił
grom
w nurt teraz bardziej siny od stali.

496a

ZOFJA STRYJEŃSKA

KOSTJUMY DO „HARNASIÓW“

KAROLA SZYMANOWSKIEGO





Pracovník do šatů, Hranovice v Bohemskému

Z. STRYIENSKA

Figura do baletu "Harmonie" w Operze Warszawskiej



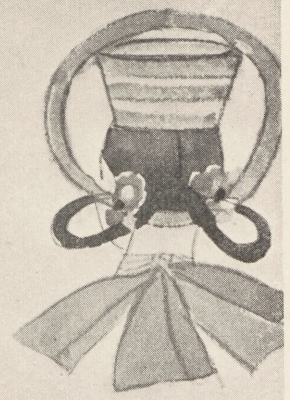
Z. STRYIENSKA



Z. STRYIENSKA

Kptyn de Salto, Harwidi "Samowodki"

192
pauze od blagost Hvalimale "Kobranovska"
(Kobranovska)



Z. STRYIENSKA

Wzrostu do 160 cm, ciemny włosy, ciemne oczy, ciemna skóra.



STRYIEŃSKA



Wzrostem do balata, Harcerskiemu "Krym" w Warszawie

Z. STRYIENSKA

Wzrost do bal. 170. Ciężar ciała 70 kg.



Z. STRVIENSKA

BALLADA KOWALI

Wieje gorący samum
miechów
nad paleniskiem:
kwitną w upalnym oddechu
tropikalne paprocie iskier.

Trupy ognistych papug
wiedną pod skwarnym młotem —
wylatują pod czaszkę pułapu
pióra czerwone i złote.

I rośnie na rusztach Sudan,
liście rąk spopielając na żużel —
spływa potu oliwą i brudem
u kowadeł niewolnik-murzyn.

Czarny kowal w malarji młocki
po faktorjach — w kupieckich marchjach,
nim ze snu się czarnego nie ocknie,
pieści w palcach tajemny żar-kwiat.

Kiedys sen się urzeczywistni.
No — i wtedy wdwójnasób, wetroje
czarny czarno odpłaci się wszystkim:
za krew — obcym i swoim — za swoje.

Dojrzewają w oddechu upału
egzotyczne paprocie iskier —
wieje pustynny samum
w szkliwo nad paleniskiem...

St. R. Dobrowolski

III

Dwie noce zrzędu śniło się Joannie, że słyszy bicie dzwonów.

...sen mara — Bóg wiara...

Lecz z piątku na sobotę miała Joanna jeszcze jeden sen, taki. Szła brzegiem dużej, bieżącej wody. Niosła naręcz płótna, jakby przyszła w to miejsce prac, ale nie miała ze sobą kijanki, a także na brzegu tej wody nie było potemu ani kładki, ani sposobnych kamieni. Gdy stanęła nie wiedząc co robić, zawołano ją po imieniu z tamtej strony wody. Spojrzała pod słońce i zobaczyła Kaja, jak pozdrowiał ją czapką wzniesioną wysoko nad głową.

Co on robi! — przeraziła się, bo Kaj wszedł w butach w wodę. Widziała jak woda sięga mu do kolan, do pasa, do ramion, po szyję!

Pomyślała, że nie zgruntuje, i chciała go ostrzec. Wtedy właśnie zaczął tonąć.

Na brzegu ani żywego ducha, nikogo ktoby pomógł... Przeżegnała się i skoczyła w wodę.

Płynie Joanna do Kaja, który idzie na dno, i płynąc, cały czas myśli: jakże go wyciągnę? nie dam mu rady. Chwyciła go za rąbek mokrego rękawa przy dłoni, i nagle tonący stał się jak kilkumiesięczne dziecko. Nie zdziwiła się wcale. Wyniosła je na brzeg i huśta żeby je osuszyć. Dziecko jest lekkie, coraz lżejsze. Już go nie czuje na ręku. Znikło.

I tej wody wielkiej niema już przed Joanną — sam szczyry piach jest wkoło niej. Patrzy: u nóg ma naręcz białego płótna.

Schyliła się po to płótno i raptem czuje, że zapada się w piasek. Głębiej i głębiej. Już stoi wkopana żywcem po szyję.

W ostatniej chwili zdążyła jeszcze pomyśleć: trzeba mi było choć rozesać rąbek przed twarzą, nie nasypałoby mi się ziemi w usta — i z tem się obudziła.

— Przyszedł do mnie ten sen już dobrze po północy, nad samem ranem pokazał mi się — opowiadała dużo później, po wielu tygodniach, gdy prawie wszystko wydawało się już jasne i spełnione. — Dlatego przemilczałam go wtedy przed mężem, chociaż myślałam.

że to o dziecko nasze chodzi, nie o niego — i Joanna, wspominając ten sen, nanowo oblewała się zimnym potem, taksamo jak wówczas, w tamtą sobotę, gdy wstała zrana, a Kaj pytał ją:

— Cóżes taka blada? Słabaś? To suszenie co piątek wcale ci nie idzie na zdrowie. Chcesz pościć, pość. Ale cały dzień żyć o kubku wody i suchej kromce chleba nie ma sensu. Jakby to nie sam Pan Bóg stworzył rybę, owoc i warzywo.

Spróbowała uśmiechnąć się:

— Nie zrzedź już.

Nie zrzedził. Zbyt był zajęty: wybierał się na polowanie na kaczki w Rogożowych Stawach u znajomka Śmietonki. Czekał na ten dzień od wiosny. Teraz był początek sierpnia.

Na stoliku pod oknem, na oknie, zamiast próbek nasion, porozkładany był w radosnym nieładzie i pośpiechu niebogaty myśliwski ekwipunek: wyciągnięta zza łóżka zakurzona torba, świeżo natłuszczone chodaki, zwitki bibulastego papieru, pakuł, skrawki wołoku, ciężki woreczek z perlстым śrutem, tłusty i czarny proch cesarski w blaszanych pudełkach, wystrzelone i nowe gily, stemple, świeżo opatrzona, błyszcząca zagranicznymi lufami dubeltówka z ciężką, szorstką kolbą domowej, stelmaszskiej roboty, stary, krótki i ostry nóż fiński w przetartej pochwie, płaska, nieduża butelka...

Niecierpliwie, choć z uwagą słuchał Kaj Krystka, który wyrachowywał się z trudem z niewielkiego sobotniego targu. Szybko rozdał robotę ogrodowym kobietom. Joannie pobieżnie zlecił załatwienie kilku ważniejszych spraw. Już całą duszą był w kraju przygody.

Joanna patrzyła na niego podejrzliwie, gdy oto stąpił lekko i prędko po ogrodzie, po mieszkaniu, cały zwrócony w stronę niewidzialnych dla Joanny rozlewisk i moczarów, pełnych niesłyszanego przez nią szelestu, plusku, krechotania. Jeszcze jest w kole jej spojrzenia, w zasięgu jej rąk i warg, a już oddzieliły go od niej te jego tylko sprawy pachnące krwią i prochem, wiatrem i kawalerską beztroską, te sprawy męskie, jakie są dla Joanny dziecinną ochotą brodzenia w skwar po błocie i zabijania tuzinami bezbronych, płochliwych ptaków o tłustem, czarnem mięsie, których dzikiego smaku ona nie lubiła nigdy.

Ze strzelbą zarzuconą na ramię, gotów do wyjścia, stanął Kaj przy kołysce dziecka. Pochylił się, dwoma palcami ujął ostrożnie jędrny policzek małej, uszczypnął lekko, pieszczotliwie i — rzekł do Joanny:

— A jednak szkoda, Joasiu, żeś urodziła dziewczynę, nie chłopca.

Nie było nic żartobliwego w jego głosie. Nie było nic niespodziewanego w jego słowach. Joanna czekała na te słowa. Przez cały ten czas. Przez dziesięć prawie miesięcy. Aż oto padły w bylejaki dzień, w bylejaką chwilę, mimochodem jakby — tego się zlekła najbardziej. Chwycała Kaja oburącz za ramię na piersi.

— Słuchaj — krzyknęła nie panując nad sobą. — Słuchaj!

— Uważaj, strzelba. Co ci to? — spojrzał na nią ogromnie zdziwiony i zawstydzony jej nierozumnym wybuchem. Ten wyraz jego twarzy oprzytomnił ją odrazu. Uciszyła się z wysiłkiem, przez siłę odjęła od niego ręce.

— Nic... nic... Sama nie wiem czasem co robię... — czerwieniła się. — Już nic.

Słuchał nieprzekonany, ale spłoszony przez chwilę, zaraz się skwapliwie uspokoił: tak bardzo śpieszył się z wymarszem do Rogożowych Stawów. Piękny dzień sobotni zapowiadał, że i wieczór będzie pogodny, bezwietrzny i jasny, więc Kaj chciał jeszcze tego wieczora zapolować na zapadach.

— Wrócę w niedzielę.

Joanna myślała prędko, prędko: cóż że pierwsza dziewczyna, drugie będzie chłopiec, lepiej nawet gdy starsza jest siostra, zastąpi matkę — i odpowiedziała:

— Więc wrócisz w niedzielę. Na obiad?

W niedzielny dzień Joanna ugotowała wspaniałą cebulową zupę według przepisu, jaki miała od mademoiselle Charlotte, starej gaduły, z którą w swoim czasie spędzała długie wieczory z jednym z karpiańskich domów, po uspieniu wspólnych wychowanków.

Kaj dopominał się często o tę obcą potrawę, w której zasmakował od pierwszego razu. Joanna gotowała ją teraz z przejęciem, po swemu jednak, tłusto, przygotowując grzanki. Obiad miał być później niż zwykle, o szóstej, gdyż na tę godzinę zapowiedział Kaj swój powrót z polowania.

Minęła jednak szósta, potem siódma. Minęła ósma i dziesiąta minęła. W pustem mieszkaniu nad wystygłymi talerzami czekała Joanna do północy. Czekwała do rana.

Świeżutki biały obrus okrył czarny kopeć lampy. O świcie za oknami, zamiast żeby weszło słońce, rozpadał się deszcz.

I wtedy to właśnie zobaczyła Joanna Kaja. Zobaczyła go niepodobnego do siebie... Sen mara — Bóg... o Boże! Obcy ludzie znieśli go z furmanki na rękach. Jak kłodę. Stała bez słowa i patrzyła gdy kładli go na zasłanem łóżku. Położono go tak jak był: w staplanych błotem spodniach, mokrych chodakach, z ustrzelonym błękitnym kaczorem w torbie myśliwskiej przy boku.

Był przytomny, ale nie mówił, nie patrzył. Nie chciał? Nie mógł? Pięści, wargi, powieki miał zaciśnięte. Gdy obracano go na łóżku, jęczał trochę, ale niedużo. Rozbierała go z pomocą Krystka, pytając bezradnie:

— Co ci zrobić? Co ci zrobić? Gdzie cię boli?

Ale on nie spojrzał na nią i nie przemówił do niej.

Nad wieczorem, sam z siebie, przyszedł stary Żyd-felczer. Z tujejszych ludzi mało kto leczył się u niego, ale pogadywano sobie, że

co drugi Żydek z okolicznych miasteczek, zwolniony przy poborze, to jego sprawa. Mógł zrobić krótki wzrok, głuchotę, gorączkę, paraliż, wrzody — i równie lekką ręką zdejmował potem te choroby.

Teraz stał oto, niewołany, przy łóżku Kaja i cmokał, w zamysleniu kołyszając się na palcach. Przyniósł ze sobą słoik pijawek.

Joanna milczała.

Powiedział do niej, usmiechając się dobrotliwie w pozótkłą brodę: — Pomóc, to ono może i nie pomoże. Zaszkozić — nie zaszkozi. Wola boska, to prawda, ale ryzyko — ludzka rzecz — i przystawił pijawki choremu w tyle głowy, za uszami i na karku.

Joanna błędnie oczami patrzyła jak gołe, pierścieniste robaki pęczniały i pęczniały, aż odpadły od ciała Kaja na białe poduszki, plamiąc je w kilku miejscach krwią.

Felczer pozbierał je skwapliwie na jedną dłoń. Każdą z nich z osobna wyciskał pomiędzy włochatymi palcami, zanim z powrotem włożył je do słoika i zawiązał pergaminowym papierem. Joanna pomagała mu w tem, dławiąc się mdłącą śliną. Skończyli wreszcie. I felczer, nie wziawszy pieniędzy ani zastawu („Niech młodemu panu będzie na zdrowie“), odszedł, starannie nakrywając nowym kapeluszem starą, przetłuszczoną jarmułkę.

Nienakarmione, zapomniane w tem zmartwieniu dziecko rozkrzyczało się w drugim końcu izby. Krystek podbiegł uciszyć je huśtaniem. Nagle Kaj, od którego nie odstępowała Joanna, sam, zupełnie sam poruszył głowę.

— Odciągnęło. Jest mi trochę lepiej — i spojrzał na Joannę i spróbował uśmiechnąć się do niej. — Nie martw się, — powiedział, — jestem zdrow.

Teraz zaczęła się nadobre choroba.

Z łóżka do drewnianej stągwi zastępującej wannę, ze stągwi z wrzątkiem do łóżka — raz, dwa razy na dobę, gdyż wzmagaly się bóle. Przenosiła Joanna chorego sama tylko, z niedorośłym Krystkiem. Z początku był jeszcze taki mocny, tyle miał ciała na sobie — ciążył bardzo, ledwie go mogli udźwignąć na wyprężonem prześcieradle.

Gorsze było, że się tem tak niecierpliwił, że się o to tak rozpaczliwie gniewał:

— Dajcież mi spokój, do stu djabłów! Ja sam! Nie jestem, psia-krew, kaleką!

Wielką ulgą było dla Joanny, gdy wreszcie zrozumiał, że spotkało go to co spotyka tylu ludzi: choroba. Przestał walczyć! Potem przestał się nawet bronić! Z dnia na dzień stawał się przerażająco powolny wszystkim wskazówkom i żądaniom Joanny. Już się nie zrywał. Nie skarżył się także. Było tak jakby ten mężczyzna przyczaił się, przywarował, myśląc, że w ten właśnie sposób wymknie się chorobie. To było w tem wszystkim najstraszniejsze.

Ale to było także poniekąd ułatwieniem dla Joanny. Wszystkie radzone przez dobrych ludzi leki domowe i lekarstwa kupne zadowolowały się nie tylko, jak dotąd, przy wezgiłowiu łóżka, ale na stole, na oknach, na kredensie, w kuchni na półkach, na kominie. Odtąd o każdej porze dnia i nocy coś się prażyło, grzało, coś studziło się, przecierało, cedziło. Igliwie z leśnych mrowisk, ziemia z torfowiska, odsiany najdrobniejszy piasek z rzecznej łąchy, sosnowa i dębowa kora zalegały wszystkie kąty. Zegar wskazywał kilka terminów jednocześnie. Joanna z oczadziałą od bezsenności głową leciała z nóg.

Przychodziły jednak na nią rzadkie chwile odpocznienia. W takich pustych chwilach zdumiewała się żałośnie wciąż odnowa: jak się to mogło stać? tak nagle? I sama sobie wciąż taksamo odpowiadała z goryczą: nagle? A nie wspominał to już dawno o bólu w stawach? o łamaniu w krzyżu? Robiło się to co na to? Nic. Mróz nie mróz, deszcz nie deszcz (dużo to tam tych pogód!), a ty, człowieku, wciąż przy robocie w ziemi! Bez święta, bez spoczynku! od małego chłopaka. I za co? Za ten psi pieniądz? Za dobre Tawułowówe słowo. I co masz z tego teraz? co?

Od Tawułów nikt się nie pokazywał. Raz jeden przyszła pani Maniusia, zadyszana, oglądająca się na boki, z kwiatami przysłoniętymi rąbkami szala — białe wszystkie. Joanna, wyszedłszy do niej, zamknęła za sobą otwarte drzwi do izby Kaja. Umyślnie.

Serafin któregoś wieczoru zajrzał z kartami, ale nawet nie wyjął z kieszeni tych talij. Więc już tylko Serafinowa przysyłała czasem które z dzieci z butelką soku albo z kawałkiem ciasta. Najczęściej była to starsza para bliźniąt: Masia i Darek. Trzymając się za ręce, stawały w drzwiach i patrzyły do środka mieszkania czterema jednakowymi, nakrapianymi oczami. Krystek szeptem spędzał je z progu:

— Idźta, idźta. Nic nie wystoita. Ogrodnik leży, ogrodniczka zajęta. Mała w kołysce śpi.

Po pierwszych dłuższych deszczach na ścieżce prowadzącej do domu utrwaliły się kałuże i zaczęły wyrastać chwasty. Przyszły jednak jeszcze ostatnie ciepłe pogody. Wśród nich ogród stał cały w wybujałych, rozrośniętych, przekwitających kwiatkach.

Joanna w niedopiętej z pośpiechu spódnicy, z roztarżanym warokczem spuszczonej na plecy, wciąż oglądająca się na drzwi mieszkania, co nie przyspieszało jej roboty, ścinała przed ciepłarnią drobne, bukietowe słoneczniki i wielkie kaktusowe georginje. Na skraju trawnika stał lekki i lśniący czarny powozik z cienkimi dyszlami, opuszczonemi w trawę. Nadeszła jedna z ogrodowych kobiet z jaskrawem brzemieniem jarzębinowych gałęzi. Zrzuciła je ciężko, soczyste, czerwone, na ziemię przy dyszlu. Joanna przyklękała u kół powozika.

— Trzeba powiązać te wszystkie grona sznurkiem i dopiero owijać nimi szprychy — mówi Joanna. Jest gorąco i parno, pot oblewa grzbiety, kobieta mruczy niechętnie, że wie dobrze co trzeba, już tak robiła z kłosami, przy bryczce.

I wszystko trzeba było potem przewiązywać nanowo, bo bryczka wyglądała jak na cygański jarmark, a nie na kwiatową zabawę.

— Przez waszą robotę nie zdążymy na porę z tym wózkiem. Ach, — Joanna bezskutecznie próbuje upiąć warkocz bez szpilek, — podawajcie mi tylko naprzemian gałęzie i kwiaty, już ja sama... — Ale ręce oglądającej się na dom Joanny drżą. Płacze łodygi, miesza kolory, otrąca jagody i płatki.

Słońce wznosi się coraz wyżej. Przybiegł i Krystek. Teraz już wszystkim trojgu zamotał się beznadziejnie cienki drut i rozsypały się po trawie gwoździe i gwoździki.

A Kaj robił to zawsze tak zręcznie. I było piękne wszystko co on zrobił!

Kłęcząc, z opadłemi nagle rękami, ujrzała Joanna przeszłoroczne „corsa”: oto aleją Starych Drzew, brzegiem rzeki, pod ruchliwą siecią plam słonecznych i zielonych cieni, koło za kołem, wśród szeleszczącej chmury serpentyn, w wirujących obłokach confetti, między mrowiem przyjaźnie falującego tłumu parasolek i kapeluszy, przy głośnych okrzykach gołogłowej i bosonogiej hałastry, oblepiającej gęsto, jak pszczoły w czas rójki, gałęzie i płoty, — posuwa się ukwiecony korowód różnobarwną falą radości, wykwintu i szczęścia.

Joanna chłonie mijające ją pojazdy, jak chłonęła nocami niezrozumiałe, cudzoziemskie słowa tłumaczone jej gorącym szeptem przez mademoiselle Charlotte z żółto oprawnych, pokapanych stearyną, łzami i czarną kawą, książek. Jest coś taksamo niedosiętego i taksamo bliskiego jak w tamtych francuskich romansach, w tej powodzi kwiatów, muślinów, koronek... Ałasowa, drżąca skóra koni w bogatych zaprzęgach, fryzowane loki kobiet, różowa nagość odkrytych biustów i ramion... zapach perfum... błyszczące oczy i zęby młodych mężczyzn, dym cygar i papierosów, zmieszany z zapachem rosy, ostatnich pokosów i pierwszych więdnących liści, — upaja Joannę. Nagle nadjeżdża w pędzie, w twardym turkocie drabiniasty wóz, pod niebo wymoszczony słomą. Między nastroszonymi snopkami czerwonołolice, spocone, zawstydzane dziewczuchy w kryzkach, w szklanych paciorkach, w obszywanych szychem taczkach u gorsetów.

— Oryry, ojryry! ryryry! — drą się jednocześnie cienkimi, ponad miarę wysilonemi głosami, otwierając szeroko usta w nieruchomych, martwo uśmiechniętych twarzach.

— Ot głupie! — tuż nad głową Joanny wykrzykuje ktoś z płotu. — Dostały po złotówce i robią z siebie pośmiewisko dla ludzi na uciechę dla państwa!

— To dwórki, — uspokaja lekceważąco ktoś inny, — gospodar-
skieby nie poszły.

— I gospodarskie na obrywki łase — odpowiadają drwiąco głosy
spomiędzy gałęzi.

Joanna nie słucha dłużej tych zrzadka brzęczących przemówek,
bo głośno szumiący zachwyty wezbrał teraz i runął w niebo wrza-
skiem i łoskotem: na fali wiwatów i oklasków płynie cacko uwite
z rumianej jak zorza kaliny. Nagroda! Pierwsza nagroda! To nic że
nagrodę ofiarowano obcej, strojnej damie, młodej markizie w pękach
czarnych aksamitek, pannie Bukowskiej z Kąkolna, która wsparta
na złoczonej lasce, patrzy zwyżsoka na publiczność w kapeluszach,
na bosonogie zbiegowisko. Jej pojazd, to pomysł i robota Kaja! I Joan-
na klaszcze w ręce razem z wszystkimi, głośniejsze i zapalczywiejsze
niż ktokolwiek. Nagle wstrzymuje dłonie w połowie oklasku... Cóż to
za kpiny?! Słyszysz gniewny głos. Dłonie Joanny rozbiegły się, ręce
opadły, leżą jak drewna na ścierniętych kolanach wbitych w zie-
mię — nagie szprychy powozowego koła, wyrosłe tuż przed twarzą
Joanny, przekreśliły za jednym zamachem cały ten wdzięczny dzień
sprzed roku.

— Cóż to za kpiny? Dwa razy posyłam chłopaka, sam przycho-
dzę, i jeszcze nie gotowe?

To Strzembosz rozgłasza daleko i szeroko, od płota do płota, swe
szorstkie niezadowolone. Joanna szybko mruga czerwonymi, na-
brzmiałymi powiekami, z kobiecego nawyku płochliwie ogarnia dłoń-
mi rozsypujące się, potargane włosy, obciąga, wygładza niedopiętą
spódnicę. Raptem opamiętuje się, niecha tego wszystkiego: jest przy
robocie jaka jest, a on — nie przyszedł w odwiedzinę.

— Dzieńdobry panu. Zrobi się na czas — mówi Joanna poprzez
georginję, którą trzyma w wargach.

— Na czas, na czas — przedrzeźnia z nieukrywaną pasją Strzem-
bosz. Jest dziś ufryzowany, w nowym jasnoszarym garniturze, w no-
wych kamaszach z cienkiej skóry, w nowym sztywnym kapeluszu.
— Na czas! Tu może przyjść panna Zofja Bukowska z matką.
Z matką — powtórzył z naciskiem. — Wspomniały, że chcą obejrzeć
to tu, — trącił końcem cienkiej laski stos ściętych gałęzi i kwiatów, —
czy będzie pannie pasowało kolorem do parasolki, czy czegoś takiego.

— Więc jednak jedzie z panem w tym powozie panna Bukowska
i nawet z matką! — Ruchliwa twarz Joanny krzepnie. — Owszem,
będzie pasowało. Z samego rana były tu już przecież z tym płas-
zczem ześcibany z okrawków zetlałej makaty. Zmieniłam w opar-
ciu powozu wszystkie ponsowe mieczyki na żółte georginje. Więcej
niż dwie godziny roboty.

— Płaszcz czy parasolka, jeden djabeł, nie znam się na tem. Ale
teraz będą już zadowolone? — Głos Strzembosza utracił szorstkość.
— Pami nie wie, Joanno, co się ze mną dzieje! — Przystąpił blisko,

usiłując wziąć ją za przegub zaciśniętej dłoni. Wysunęła dłoń, zostawiając mu w rękę garść cienkich drucików do usztywniania łodyg kwiatowych:

— Niech pan chwilę potrzyma, to ja tu przymocuję oblużowaną gałąź. Tak. Już dziękuję. Wiem, że się pan chce żenić w Kąkolnie. Trudno z tem panu szło, ale widzę że poszło dobrze. Winszuję.

— Naprawdę?

Popatrzył na nią bystro. Milczała. Uśmiechnął się bezwiednie pod napomadowanemi węsami. Z męskiego nawyku pomyślał, że ona w tem milczeniu grzebie przegraną zwykłych kobiecych zamysłów.

— Żeby pani dla mnie była choć trochę inna... — Ułakł się jednak, nie domówił.

Plecy jej drgnęły jak przeciągnięte batem, ale nie odwróciła głowy, wciąż mocno zajęta umocowywaniem krwawych kiści jagód wzdłuż czarnego powozowego skrzydła. Zmieszał się Strzembosz. Machnął rękawiczkami, które trzymał złożone, w lewej ręce:

— No co tam o tem, skoro nie było, a i tak przeszło — spróbował żartobliwego głosu i lekkich słów, ale głos załamał mu się, słowa zlepily się w niewyraźny bełkot, nikły uśmiech rozpełził się niewidocznie po twarzy skrzywionej rosnącym wzburzeniem.

— Pani to wie i każdy to wie, — chwycił gwałtownie za cienki dyszel, — jak jest właściwie ze mną! — Urwał, dysząc. Czekał chwilę, żeby mu dopomogła. Ale ona ni ruchem, ni spojrzeniem nie dała mu poznać, że go słucha.

— No co tam — powtórzył z zajadłą chęcią wygadania się choćby do dyszla. — Wiadomo tu wszystkim, dzieciom nawet, że gdyby wielmożny pan Jan Strzembosz, cioteczno-cioteczny brat jaśnie Żabiny, nie przegrał w karty do proboszcza Strusia swojej obietnicy, że weźmie ślub z własną kucharką, za którą jej wianek na dwuletnich nogach już łąził, nie byłoby wielmożnego Strzembosza junjora, ale zwyczajny znajdek!

Głos Januarego skażony był taką nienawiścią, że Joanna odwróciła się gwałtownie, aby stwierdzić naocznie, że to ten sam człowiek.

Bękart — pomyślała z ciemną, z głębin ciała powstałą odrazą, jakby poczuła przeklętą, złą woń zmieszanych a obcych sobie krwi, krążących w jego żyłach.

Wlepił w nią oczy zdziczałe, pełne udręki:

— Rozumiesz ty mnie teraz?

A ona przestraszyła się tego co poczuła przed chwilą, otrząsnęła się przemocą ze swej niedobrej myśli. Z przegrody serca, tej lepszej, wydobyła siostrzane, ostrzegawcze słowo:

— Co ci z tego przyjdzie jak wżenisz się w ojcowy świat? Zgubisz to się matczynemu światu, czy jak?

— Żebym ja mógł ze siebie ten kucharski świat!... — wbił obcas

w zieleniejący mu się pod giemzowym kamaszem mały kierzek trawy, rozgniótł go, i rozgnieciony już, jeszcze miażdżył i deptał.

Joanna wyprostowała się, strzepnęła ręką po sukience. Z podołka jej posypało się kilka jarzębinowych jagód i drobnych jarzębinowych liści.

— Powóz gotowy. Powodzenia — rzekła sucho.

Drgnął gwałtownie. Podniósł wysoko głowę. Skinął zlekka, po pańsku:

— To dobrze. Zaraz przysię konie.

Nawet nie spytał o zdrowie Kaja, — stwierdziła spokojnie, gdy odszedł, — a byli tacy stowarzyszeni ze sobą, Kaj i on. Widziała go wciąż wysokiego, barczystego, jakby tu jeszcze stał przed nią na trawniku w swej sile, w swem zdrowiu, a już zarażony tą łapczywością pańskiego życia — dworski pokurcz.

Ustała krok, bo Krystek z ogrodową kobietą jęli pchać i ciągnąć i toczyć powozik ku bramie. Przyłożyła i ona ręki. Zza parkanu słychać było stąpanie luźno prowadzonych koni.

Gdy ukwiecony powozik wytoczył się z ogrodu i Krystek wziął się do zgrabiania pozostałych po robocie ułamków gałęzi i liścianego śmiecia, Joanna płochliwym spojrzeniem obrzuciła ogród odgradzony od drogi wysokim parkanem, oddzielony drogą nie tylko od Parku Zabaw, ale i od całego ludnego osiedla, zamykający w sobie mały, kamienny dom, Dom Joanny i Kaja, chorego mężczyzny i jego bezradnej kobiety.

Stała jak porażona tem co już widziała przed sobą a co się miało stać w rzeczywistości prędzej niż sądził ktokolwiek z mieszkańców Zeleźna:

...ogród pustoszał. Nie było komu doglądać licznych robotników, ani czem płacić za robotę. Opadły niezebrane w porę jabłka. Pogniły warzywa. Wiatr rozmiótł przekwitłe, niepościanane kwiaty. Nieznane istoty powyłamywały sztachety w płocie.

Rozeszli się ludzie. Rozleciały się ptaki. Rozpierzchły owady.

Joanna zrozumiała, że tutaj skończyło się wszystko.

Tej nocy o strome cztery ściany ogrodowego dworku bił wiatr. Fale ciemności uderzyły w niezastłonięte okna.

Prawdziwie: dom Joanny, dom Kaja, szedł na dno. I nic tu już nie było do uratowania — prócz życia.

Joanna zdecydowała się.

Nic nie widać: świat wypełnia spuchnięta szarość lepka i cuchnąca, jak mokra, owcza wełna.

Słychać coś: głuche, nierówne uderzenia żelaza o kamień, drewniany, jednostajny skrzyp.

Nie rozjaśnia się, ale zaczyna mętnie bieleć. Beładnie krążące nieważkie krople deszczu poczynają ciężać i spadają zgóry nadół. Zdołu dogóry podnosi się mgła wylęgła z coraz wyraźniejszych, coraz rozlewniejszych kałuż, w których topi się skąpy błotnisty śnieg.

Bezdrogą, śródpolem, w głębokich, pełnych wody koleinach posuwa się po gęstej glinie, po rzadkiej bryi, po stęgłym piachu, po ruchomych, rozkruszonych gładach, kształt wielki, dziwaczny, za każdym obrotem ciężkich kół coraz wyraźniejszy.

Zdarte podkowy i ciężkie obręcze uderzają teraz o kamieniste wyboje bitej drogi. Skrzypią nienasmarowane osie. Zgrzyta łańcuch wloką się za wozem-arką. U schlastanego błotem podwozia wisi latarnia, kołysząc się gwałtownie, rzuca na ziemię i na koła czarne i żółte plamy. Z boków, ściągnięte łańcuchami i sznurami, sterczą, trąc się o siebie, drewniane skrzynie i paki, łozinowe kobiele i opałki. Na wysoko wysklepionym grzbiecie faluje wielka bura płachta, przytrzymywana wysilonemi pałakami, szmatami przytrzaśnięta. U dyszla, w suplastych postronkach malikowate konie idą, to szarpiąc ciężar wszystkiemi żyłami napiętymi pod sparszywią, wyciętą batem do gołej skóry sierścią, to drzemiąc ze łbami bezwładnie zwisłemi do kolan.

— Fue! fue! — sływa po grubem biczysku na zapadnięte końskie grzbiety, na ropiejące łopatki, na łby jasnokościste. Chór tegich chrapan wstrząsa płachtą. Zduszony ptasi pisk, gęg, kwak i krekor mrowią się pod chrapaniem.

W szczelinie płachty, na brzegu kłębowiska wатовanych jupek i chałatów, pełnych świszczącej zadyszki, posapu i wrzaskliwego chrapania, na śliskim skraju wiązki słomy, siedzi skulona, blada, bezsenna Joanna. Zdrętwiąłe stopy w cienkich trzewikach spuściła na zwieszzone z wozu drewniane wiadro z sieczką. Jedną ręką, gorącą, ogarnia na sobie starą kurtkę Kaja, drugą, zsiniałą, trzyma się chwiejnie rąbka płachty.

Oczy ma suche. Policzki i usta ma mokre — od deszczu. Patrzy przed siebie. Nic nie myśli. Przemyślała już wszystko. Wybrała jedno. Niech się dzieje co chce. Myślenie nic tu więcej nie pomoże.

Wóz-arka zakółsał się, stanął w morzu błota przed rogałką.

Joanna puściła płachtę, zsunęła się z wiązki, niezgrabnie, ciężko skoczyła na ziemię. Po kostki w wodzie obeszła wóz, wsunęła w wyciągniętą rękę woźnicy umówiony pieniądz. Skrycie, wdzięcznie przeciągnęła dłonią po żółtych od zielska, głodnych pyskach koni. Jakiś kogut, zwisający łbem i jednym wywichniętem skrzydłem przez ciasne szczeble bocznej skrzyni, pożegnał ją wrzaskliwie niewczesnym trzykrotnym zapianiem.

Nie patrząc na boki, przeszła pieszo przez rozpierchnione, zapadłe w wyprzałych ogrodach przedmieście.

Krople deszczu znów stały się drobne, nieważkie i podfrunęły

wgórę. Powiał wiatr. Joanna otrząsnęła się całym ciałem jak pies. Zacisnęła szal wokół głowy, zapięła pod brodą szorstki kołniercz ciężkiej, męskiej kurty... Przesmyknęło wspomnienie miękkich, suchych wiewiórczych skórek... ledwie zwróciła na nie przelotną uwagę. Nic z tamtych rzeczy nie było teraz ważne.

Przechodziła właśnie koło cmentarnego muru. Podniosła oczy. Poznała i pozdrowiła wzrokiem czarne wierzchołki krzyży. Ale nie zatrzymała się teraz, taksamo jak nie przystanęła w tem miejscu i wówczas, przed kilkoma laty, gdy szła mała i sama, z Podgaju do Palikij. I wtedy śpieszyła się bardzo.

Czy to jest tylko pośpiech? Nie odpowiedziała sobie na to nagłe pytanie. POCO? Zwolniła krok wzburzona, niespokojna.

— Wieczne odpoczywanie racz im dać Panie. Wieczne odpoczywanie — mówiła z przyzwyczajenia, a rozglądała się, czy nie widać w pobliżu jakiej furmanki zdążającej w potrzebną jej stronę.

— Może z targu będą jechali — przypomniała sobie po jakimś czasie.

Błaszany szyld z wymalowanym samowarem zatrzymał ją. Weszła po spróchniałych schodkach do gospody.

W niskiej izbie dzień zimowy był jeszcze ciemniejszy. Cuchnęła machorka i śledzie. Żydówka postawiła przed Joanną zieloną szklankę z mętym płynem. Joanna zanurzyła w szklance pogiętą blaszaną łyżeczkę. Nabrała gorącej herbaty w wyschnięte usta. Smak parzonego siana wydał jej się miłym smakiem. Sięgnęła drugi raz łyżeczką do szklanki i — zapomniała o niej.

Szpakowaty mężczyzna w łatanym kozuchu, siedzący w drugim kącie izby, przyglądał jej się ciekawie. Jego okrągłe niebieskie oczy biegały niespokojnie po całej jej postaci, zatrzymując się coraz uparciej na ciężkim, czarnym warkoczu wysuniętym spod szala i na cienkich łukach brwi.

Poruszył się jakby miał zamiar wstać. Nagle wstała Joanna. Położyła kupkę miedziaków na stole obok niewypitej szklanki i wyszła szybko z izby, słysząc turkot wozu.

Nie, gruby zgonnik, siedzący w wytartej bekieszy na wózku przytrząśniętym grochowinami, nie jechał do Wężowny, ale mógł, owszem, podwieźć podróżną do miejsca, gdzie dawniej stał młyn, który się spalił. Stamtąd, ze starej pogorzeli, lasem droga prosta, niedaleka.

Joanna skwapliwie weszła na wózek.

Leżące na dnie wozu ciele, związane powrośtem, dzwignęło zbolełą, miękką łeb na chwiejnej szyi i z wysiłkiem spojrzało zamglonymi oczami przez rzadkie białe rzęsy na Joannę. Joanna wstrząsnęła się. Podpity zgonnik uśmiechnął się wstydliwie do młodej podróżnej:

— Niech panna nie myśli, że stary Zientarek takimi sztukami handluje, — i tłumaczył coś rozwlekłe i zawile przez gorzałczaną

czkawkę o czasach, o Żydach, o synowej-sekutnicy. Nie słuchała, lekko, uważnie oparłszy czubek zabloconego przemiękłego trzewi-ka o miękki, ciepły grzbiet spętanego zwierzęcia.

...Więc to tędy, tą drogą jechała z pogrzebu Celestyna...

Droga była teraz inna, i wszystko dokoła, choć niby to samo, było inne, samoswoje.

Spróbowała przypomnieć sobie młodego męża macochy, macochę, siostrę Krystynę, Firmantego — i nikogo z tych ludzi nie mogła przywołać przed siebie z twarzy, z ruchów, z głosu. Gdy wymawiała w myśli ich imiona, nic nie czuła, niczego nie widziała.

— Jakby nic takiego nigdy nie było — pomyślała zmęczona.

Podjeżdżali ku miejscu, które powinno było być Wroniem Wzgórzem. Kilka mokrych sosen rozczapierało się na łysym pagórku. Joanna czekała na jakieś drgnienie czy ściśnięcie serca. Wózek przetoczył się — nic.

Po prawej stronie drogi zaczerniał spadzisty dach gontowy. Mruk-nęła: „dom” i aż się zachwiała na grochowinowej wiązce, bo zrozumiała, że ta obojętność na wszystko tutaj, to przecież tylko prosty lęk o tamten dom, najbliższy i jedyny, o dom Kaja. A to nie opu-szczające ją ani na chwilę mdlenie w dołku, o którym usilnie starała się nie myśleć: to nie głód, nie pragnienie ani niewyspanie, ale strach o dwoje żywych i bliskich: o męża i dziecko.

Zgonnik wstrzymał konia.

Więc tu stał młyn?

Joanna schyliła się, objęła oburącz łaciaty łeb cielęcia — przez chwilę czuła na dłoni kosmaty, miękki policzek, wypukłe wilgotne oko, kąk zaślinionej wargi. Zabolało ją serce tak gwałtownie, iż my-słała że padnie. Ale to trwało мгnienie. Wyprostowała się, prze-stąpiła przez spętane, przeznaczone na rzeź, zwierzę i zlązła na drogę wchodzącą w las.

— Prosto, a potem za górką na lewo — poradził uczynny obcy człowiek.

Poszła prosto i zaraz zmyliła drogę.

Sądząc po mijającym czasie mogło być już południe, ale na świe-cie była wciąż ta sama bezbarwna szarość świtu, a może zmierzchu. Na drodze Joanny stały wyrosnięte drzewa. Dużo bezlistnych, tę-gich, młodych drzew — tych nie знаła. Spróbowała je okrążyć. Co-fnęła się, weszła pomiędzy nie. Krążyła między niemi zląkła i nieuf-na. Straciła wiele czasu w ten sposób. Przeziębła a zgrzana do po-tów, postanowiła wreszcie iść na chybił trafił. Wyrudziały mech uginał się pod nią, tryskając wodą jak gąbka. Mijała puste, zapad-nięte w siebie, zalane deszczem mrowiska. Ciężki, siwoczarny ptak przemaszerował nisko pod gałęziami po przegniłych liściach. Zdzi-wiała się: wrona? Szeleszcząc zamoczoną spódnicą, przeskoczyła przez zwałony, próchniejący pień. Wyminęła świeżo snąc układane

sągi. Weszła pomiędzy sterczące z piaszczystych dołów korniaki. Stała przy którymś aby wytchnąć i wprost przed sobą zobaczyła zabudowania. Wieś.

Wężowna, ale od jakiejże to strony? — zastanowiła się Joanna. Resztą sił poszła naprzeciąj do najbliższej chaty.

Kudłaty skowyrak, jak wszystkie obce psy, otarł się przyjaźnie o jej nogi. Postąpiła chwilę pod okapem. Wydychała się. Otworzyła drzwi do sieni. Poomacku znalazła klamkę do izby. Weszła. Zamykane drzwi zaskrzypiały przeciągle. Nikt się do niej słowem nie odezwał. Lampka oliwna przed malowanymi Bogiem Ojcem i Matką Bożą skwierczała cicho. Pleczysta kobieta schylona nad łóżkiem nie obróciła się. Zgarbiony chłop, siedzący w cieniu u komina, przysłonił oczy daszkiem z drżących palców i wpatrywał się chwilę w przybyłą, nim spytał niegłośno:

— Kogo Bóg prowadzi?

— Podróżna — rzekła, zawahawszy się na мгніenie, Joanna.

Wskazał jej stołek u drzwi.

— Chciałabym... — zaczęła Joanna, ale chłop prędko zamachał ręką, więc umilkła. Spojrzała gdzie on patrzył, ku plecóm kobiety schylonej nad łóżkiem. Kobieta to składała, to rozkładała ręce. Z glinianej pokrywki, stojącej na ziemi przy głowach łóżka, wspinał się wąską smuzką ku lampce oliwnej dym. Kobieta to chwytowała go, to odpędzała, mrużąc:

— Nie ja lekarz, pan Bóg lekarz. Ciebie boli, ty wyrzekasz...

Ktoś tu ma różę — pomyślała Joanna.

— ...od obory do stodoły, jak bolało, tak boli...

...albo kolki.

— ...od wierzej do wierzej, co ma być lepiej, to ci gorzej...

— Dlaczego to nie Bocianicha? — zastanowiła się Joanna, słuchając tego białego głosu, patrząc na niepewne, chaotyczne ruchy nieznanym, młodej zdaje się, kobiety. Lęk, który nie opuszczał jej wnętrzości, wzmógł się tak bardzo, że oddychała z trudem.

— Zdrowaś Maryjo... owoc żywota twojego... Amen. — Kobieta skończyła zamawianie.

Joanna, wciąż trzymając się przy drzwiach, spytała teraz o Małgorzatę Bociańską. Ci ludzie tutaj długo ważyli w myślach odpowiedź, nim skinęli ku sobie głowami, a potem zwrócili niewyraźne twarze ku przybyłej:

— Ze sprawą do Bocianichy?

Mężczyzna zgarbił się jeszcze bardziej.

— A skądżeście? — zagabnęła kobieta.

— Ostaw, — mruknął mężczyzna, — Bocianicha, Bociańska niby, siedzi gdzie siedziała — rzekł z wolna odmierzając słowa. — Ale już ona nikomu ani pomoże ani zaszkodzi.

— Czy... chora? — stropiła się Joanna.

Kiwnęli głowami oboje.

— Na co chora?

— Ano — mężczyzna przystąpił powiekami oczy — na śmierć.

Joanna opuściła ręce:

— Takem tu szła z nadzieją w sercu.

— Znaliście to ją? — poruszyła się kobieta.

— Ostaw — mruknął mężczyzna.

Na dworze pies zaszczekał gwałtownie i umilkł. Głośne kroki przeszły przez sieni. Joanna usunęła się nabok. Drzwi się otworzyły (przez izbę przeszedł zimny ciąg), weszła kobieta osłonięta chustką. W milczeniu, nie patrząc na nikogo, podeszła do komina. Wyciągnęła rękę spod chustki. W rękę miała niewielkie drewnienko, z jednej strony karbowane. Trzy pary oczu wpiło się w ten kawałek drewna.

— Namta wręby — tylko te dwa słowa powiedziała wysłanka śmierci i cofnęła się do sieni.

Joanna pod rąbkiem chustki dojrzała gęste białe brwi przyklepione do tłustego, rumianego czoła — drgnęła wstrząśnięta przypomnieniem... Tymczasem mężczyzna wyprostował się, opieszale wyszedł z cienia pieca, niechętnie sięgnął po kozuch leżący na ławie i począł go wdziawać, ociągając się.

— Dla takiej tam będziesz, co szczezła bez księdza... — syknęła żona. Ale on, wzięwszy wręby, podążył w milczeniu do najbliższej chaty, żeby podać dalej znak ubycia człowieka z gromady.

Joanna wybiegła za nim na drogę.

Chłop skręcił ku bliskiemu sąsiedniemu obejściu, ona spojrzała pilnie w przeciwną stronę. Dojrzała odchodzącą. Dogoniła ją. Chwycała za ramię przez mokrą chustkę. Stały teraz twarzami ku sobie, same na pustej drodze, wśród dawno zaoranej poręby, we wzmagającym się deszczu.

— Babka wasza umarła? — krzyknęła Joanna zbliżając się, w te białe brwi.

— Poznają was. Wyście ta pasierbica ze młyna od pani Wincenty — powiedziała, jak we śnie, wnuka starej znachorki, przysuwając czerwoną, okrągłą twarz do szerniałej, boleśnie ściągniętej twarzy Joanny.

— Od północkska tu do niej jadę... idę...

— O północkska podniosłem z podłogi pierzynę co się zesunęła z łóżka. Chciałem ją nakryć. Nogi już miała zimne... Ręce miała zimne... Nie ruchała się.

Joanna podniosła dłonie do skroni:

— Co ja teraz pocznę?

Bez woli, jak urzeknięta, szła za dziewczyną. Dziewczyna mówiła przed siebie, na wiatr, w gęste krople deszczu:

— Wszystkim innym radziła, sobie jednej poradzić nie mogła...

Najpierw puchnienie, potem przyszło bolenie głowy, potem na oczy padło, wreszcie w ręce i w nogi weszło... Wszystkich innych od śmierci ratowała, siebie jednej zratować nie umiała... Jeszcze się wiadać takie ziele nie zasiało, nie zakwitło, nie urosło!

Zamilkła nagle, obejrzała się na Joannę, stanęła.

— Co tam? — ocknęła się Joanna.

— Idzie ktoś od naszej chałupy.

Wyczekały obie: zaszła im drogę idąca. Wysoka była, chuda. Szła z wielkim pośpiechem. Tęgi tobół nosła. Zrównała się z nimi.

— Siostra! — zdumiała się dziewczyna.

— Cicho, głupia! — ofuknęła ją starsza wnuka Bocianichy. — Bierz szmaty, com związała w drugi tobół, pod ścianą leżą, i doganiaj mnie. Drogą do Przysuchy leć za mną.

— Siostro! — łamała ręce młodsza.

— Cicho! Uciekam z tego djabelskiego domu. Uciekaj i ty, jeśli ci zbawienie duszy miłe!

— Siostro! jakże tak? Pochować trzeba.

— Pan Bóg ją opuścił, święta ziemia nie przyjmie. Nie widziałas to, że w chwilę skonania puściła z ręki święconą gromnicę? To zły duch weszedł w połowę jej ciała i trząsł nią tak i szarpał w piekielnej radości!... Zginęła i nas zgubi jak nie uciekniemy!... Chodź ze mną! Choć ze mną!... Chodź ze mną...

I siostry oddaliły się we mgle, roztopiły się w deszczu, wsiąkły w las.

Joanna pchana obcą siłą sama weszła do izby, w której leżała opuszczona zmarła Bocianicha.

Garść łuczywa porzucona w pośpiechu na kominie migąta słabym, kopącym płomykiem. Joanna mimowiednie zebrała szczyпки, urównała, zatknęła w poczerniałą szczelinę przymurku. Pojaśniało w tym kącie izby smutnem czerwonym światłem. Na chwiejnej granicy światła i mroku ujrzała Joanna łoże śmierci: w wiśniowych, malowanych deskach, na słomie powleczonej lnianą płachtą, i lnianą płachtą przykryta, z niewyciągniętą poduszką spod głowy, leżała ta która miała dać Joannie poratunek dla Kaja.

— Babko Bocianicho! — zawołała szeptem na umarłą Joanna — Babko Bocianicho!

— Csss! — odezwał się cicho świerszcz w ciepłym jeszcze kominie.

Joanna schyliła się, podniosła leżącą od wielu godzin obok łóżka, na ziemi, złamaną gromnicę. Ze zgasłą gromnicą w ręku przyglądała się ogromnemu, sztywnemu przedmiotowi na łóżku, wzdymającemu cienkie, przeraźliwie białe przykrycie.

Nie mogła w to uwierzyć, że będzie musiała odejść stąd z niczem, że ten jej przyjazd jest już spóźniony. Zacisnęła z całych sił ręce na gromnicę. Ostre paznokcie weszły głęboko w twardey wosk.

— Babko Bocianicho! — zachrypiała Joanna. Porwał ją nagły gniew.

Niepohamowaną ręką sięgnęła brzegu śmiertelnej płachty i ściągnęła ją z twarzy leżącej.

Wielki, wygaszony z życia, nieruchomy krąg, otoczony zeszlęmi siwymi włosami, pogrążony był ciężko, głęboko we wgniecionym srodku brudnej kraciastej poduszki. Cień powiek i nosa czernił się na nim ostro... Joannę odstąpił gniew, wstąpiła w nią litość.

Tak kończy się wszystko: miłość i nienawiść, ubóstwo i pycha, zdrowie i choroba.

Przymknęła oczy. Starła się wyobrazić sobie siebie samą leżącą tak na jakimś łóżku w jakiejś izbie, zimną na wszystkie radości, twardą na wszystkie bóle tego świata... Siebie, i Kaja, Kaja także. I dziecko, małą niewinną Salomeę.

— Wszyscy pomrzemy, nie dziś to jutro. Nie dziś to jutro — powtarzała nieprzytomnie z błędnym uśmiechem tę starannie ukrywaną dotąd w sobie tajemnicę. Nie zdając sobie sprawy z tego co właściwie robi, zapaliła od szczyпки gromnicę i zbliżyła się powtórnie do łóżka.

Za ścianą słychać było głosy i stapania. To zaciekawieni wiadomością o śmierci starej, zdążali poniekąd ze wsi popatrzeć na zwłoki.

Za uchylonemi drzwiami przesunęło się kilka twarzy. Dwie ciekawsze kobiety weszły do środka, a ujrawszy Joannę, klękły zaraz przy progu. Jedna z nich śpiesznie rozpoczęła litanję za zmarłe.

— ...od gniewu Twego wybaw je Jezu. Od mocy piekielnej wybaw je Jezu. Od upalenia ognistego wybaw je Jezu...

— Ciebie prosimy, wysłuchaj nas... — wtórowała jeszcze śpieszniej druga.

Joanna, klęcząca z gromnicą przy łóżku od dłuższej już chwili, doznawała dziwnego uczucia. Oto czuła wyraźnie, całym złęknionem ciałem, że tu gdzieś bardzo blisko, tuż obok niej, odbywa się w głuchoniemej ciszy jakaś straszliwa, rozumem ludzkim nie pojęta, myślą nawet nie dająca się ogarnąć walka. Co się zmagalo i z czem — nie wiedziała, ale zaczęła drzeć i giąć się przed siłą ocierających się o nią nieznanym mocy.

Nagle Joanna otworzyła szeroko oczy i otwierała je szerzej, jeszcze szerzej, nie wierząc temu co widzi: na czole Bocianichy ukazały się wyraźnie krople potu i powiększały się, gęstniały na całej nieruchomej, opuchniętej twarzy, na szyi — duże, lśniące, żywe... żywe!!!

Joanna wypuściła z rąk gromnicę.

Kobiety przy progu przerwały modlitwę i wstały zaniepokojone Joanną. Posunęły się krok, dwa, ku zmarłej, a ona westchnęła cicho i chwiejnie, wyraźnie poruszyła głową po poduszce.

— Żyje — wybełkotała drżąca Joanna.

Kobiety z okropnym wrzaskiem rzuciły się do drzwi...

— Żyje... obudziła się... żyje... — mamląła Joanna.
Tupot uciekających oddalał się gwałtownie w stronę wsi.
— Pić.

Dobre, znajome, ludzkie słowo! Joanna ze łzami w oczach, z uśmiechem na wykrzywionych jeszcze przerażeniem wargach, schyliła się śpiesznie, cała drżąca. Radośnie wzburzona, ciepłą, czujną dłonią dotknęła ożywającego czoła aby zgarnąć gęsty, śmiertelny pot, i — nagły wstręt skurczył jej palce, głęboka, niepokonana odraza żywego człowieka do trupa, który wstał z martwych.

Bocianicha powoli dźwignęła odporne powieki ze zmętniałych oczu. Wzrok jej, budzący się znów do tego świata, spoczął ciężko, uparcie na skurczonej twarzy Joanny. Zakłęste wargi poruszyły się niezadarnie. W czarnej jamie ust zdrewniały język obrócił się z trudem:

— Przyszaś, Joanna. To ty? Dzień i noc, ogień i mleko. — Straszliwie powolny uśmiech rozciągnął drętwą twarz wróżychy... — Umarłych się boisz... Ty śmiercią nie umrzesz... Bocianicha ci to mówi...

Joanna słuchała wyroku z za świata jak trup blada. Łuczywo zatknięte w szczelinę przymurka dogasało. A wtem wszczął się ruch i rozgwar na drodze, wokół chaty. Słyszał było, ścigał podniecony, wzburzony tłum... gromada. Ktoś pchnął z rozmachem stare, spróchniałe drzwi. Wypadły z zawiasów, runęły na glinianą podłogę. Gorący oddech dziesiątka dyszących ust oblał w ciemności plecy Joanny. Bocianicha daremnie próbowała dźwignąć się na łóżku.

Joanna obejrzała się bezradnie. W milczącej, ciasno zbitej ciżbie groźnie świeciły wyszczerzone zęby i wytrzeszczone oczy. W zaciśniętych pięściach ujrzała Joanna wzniesione różańce i czarne pasyjki.

— Ludzie! — krzyknęła w zdumieniu. — Chrześcijanie! — i dziecinnie rozkrzyżowała ręce przed bezwładną, ciężko dyszącą Bocianichą.

Odpowiedziało jej milczenie. Z gromady wystąpił suchy, wygolony chłop z dużym żelaznym krzyżem w żyłastych rękach. Krzyż ten trzymał oburącz, odwrócony dogóry trzonem. W tej samej chwili ktoś mocno chwycił Joannę styłu za łokcie, ścisnął, pchnął pod ścianę, szarpnął za sobą i przepchał przez gromadę, przez ciemność w jaśniejszy mrok na drogę:

— Kobieto, wracaj skądeś przyszła. Uciekaj! Uciekaj!

Stała nieporuszona, więc pociągnął ją za sobą na ścieżkę ku lasowi. Był to ten sam szpakowaty mężczyzna w łatanym kozuchu, który zrana przyglądał się jej okrągłymi niebieskimi oczami w przysuskiej gospodzie.

— Czy to ty, Bronek? Co oni tam robią?

— Ja, Joasiu, ja. Nic tu po tobie. Odejdź stąd. Odejdź. To śmierć — ciągnął ją gwałtownie przez wyboje, przez krzaki, nie wypuszczając jej ramienia. Obijali się nieprzytomnie od pnia do pnia.

— Śmierć... Ja śmiercią nie umrę... Bocianicha mi to mówiła... Daleki, słaby krzyk człowieczy przeszył powietrze i skończył się bez echa.

IV

„Idąc na wszystkie światy opowiadają Ewangelię wszemu stworzeniu”.

Kto ich słucha?

Murowany, dachówką kryty dom Boży, który stoi na szczycie Kościelnej Góry, zbudowany jest bardzo przestrono. Nie było dotąd wielkiej ciszy w jego ścianach. W niedzielę stąpały jeszcze dość liczne kroki drogą wiodącą pod Górę. Ale przez sześć powszednich dni tygodnia trwała cisza. W ciszy tej; plebańskie owce pasły się spokojnie przed zamkniętymi kościelnymi wrotami; plebańska gospodyni na cmentarnym murze rozwieszała do słońca świeżo uprane obrusy; gruchające gołębie parafjan przechadzały się uparcie po placu między zakrystją i plebanją, pamiętając na sypiący się tu czasami groch i owies z ofiarnych worków.

Tutaj to wstąpili ojcowie misjonarze, idący we wszystkie światy opowiadać Ewangelię.

Znaleźli posłuch zaraz po pierwszym misyjnym kazaniu. Mowa ich była prosta, ale pełna jakoby ognistych języków. Bez wątpienia napełnieni byli Duchem Świętym.

Pierwszego dnia słuchała ich dla zwyczaju i z pobożnego próżniactwa garstka starych kobiet. W drugim dniu przysły co ciekawsze młodki. Na trzeci — już od północy drogi i błonia pod Kościelną Górą pełne było ludzi. Kościelna Góra okryta była mrowiem kobiet i mężczyzn. W kościele tłok spragnionych słowa Bożego stał się tak wielki, że kamienne mury zdały się usuwać i rozstępować przed naporem kruchych ramion i grzbietów.

Od świtu do zmroku, dzień po dniu, gna się kolana. Zaciśnięte pięści biją w piersi. Na twarzach obfite łzy i niebiańska radość.

Czy jest wśród grzeszników taki, który nie zalałby się łzami szczęścia na wieść, że Dobry Pasterz opuszcza całe stado, ażeby szukać jednej zabłąkanej owcy? Czy jest któryby nie podniósł z prochu głowy, słysząc jak ojciec dla uczczenia marnotrawnego syna przywdziewa szaty weselne, gotuje ucztę i zabija cielca?! Czyja dusza, oczyszczona generalną spowiedzią z grzechów złego życia, nie czułaby się niezniszczalną perłą?

Kończyła się noc nad Żeleźnem. Pani Manusia Tawułowa zbudziła się o świcie w miękkim łożu. Wstała od boku potężnie chrapiącego męża. Pierwszy raz popatrzyła bez nienawiści na jego wielką, łysą głowę, ciężką jak kamień, jak ogień gorącą, na piersi poroś-

nięte krętem, siwem runem, na sękatę ramiona, tak często zadające jej gwałt w małżeńskim uścisku.

W chustce służebnej dziewczyny, bosy, po rosie, wybiegła z domu w pole. Z pola pobiegła w las.

Nocne chłody, siwe i mokre, żyły tu jeszcze pod niskimi krzakami leszczyny i w małych, ze skrzydlatego nasienia wyrosłych, brzezi-
nach. Lecz górą, po wierzchołkach dębowych i lipowych drzew, śmigały już pierwsze rude promienie słońca, ciepłe i suche. Biły w zielone, skapanie w rosie liście. Trącały skulone, wilgotne od rosy ptaki. Liście szeleściły. Ptaki otrząsały pióra i zaczynały śpiew.

Pani Manusia, nędzna i bosa, szła śpiesznie od drzewa do drzewa, przypominając sobie i rozpamiętując. Za trzecim jałowcem od drugiego dębu, koło dwoistej lipy rósł ten krzak leszczyny.

Odgarnęła dolne gałęzie. Uklękała. Wyjęła spod chustki szeroki kuchenny nóż. Przeżegnała się i zanurzyła go po trzonek w ziemię.

Kopała długo, coraz niespokojniej, to tu — to tam. Nie znalazła czego szukała, zła żona.

Czarna leśna ziemia lepszą była matką: garstkę kosteczek, kruszoną ciałą pojęła dawno w swe łono i nie chciała zwrócić.

Pani Manusia, blada bardzo, z czołem w krwawym rumieńcu, w woskowym pocie na skroniach, garść ciemnej wiernej ziemi zawięła w płócienną szmatkę. Idzie lasem. Idzie polem. Niesie w płóciennej szmatce świadectwo swego grzechu. Na cmentarz, między poświęcone mogiłki zdąża.

Weszła po drodze do domu. Staneła u łóżka.

— Zbudź się, mój mężu, — mówi, — posłuchaj prawdy o młodej żonie, co miała w nienawiści płód z męża swego poczęty. Nie, nie! Nie budź się, stary, dobry człowieku. Śpij. I tak się na czas obudzisz, żeby zobaczyć w kościelnej kruchcie moją jasną głowę popiołem przysypaną i piersi moje w zgrzebnym worku. Bóg mi odpuścił! Nieurodzony nasz synek aniołem-stróżem przy mnie chodzi i uśmiecha się do mnie. Twoim uśmiechem się uśmiecha, mężu. Narodzić się chce pomiędzy nami po raz wtóry. Rozpogódź czoło.

Nad Żeleźnem wzeszło słońce.

Serafinowa rzekła do dwu starszych córek:

— Ubierzcie mnie dziewczęta w czystą koszulę. Dajcie mi suknię popielatą, z białej farbowaną. Nie miałem jej na sobie od dnia ślubu. Włóżcie mi na nogi nowe trzewiki. Stoją w szafie od roku. To nic że trochę ciasne. Umyjcie mnie wodą z octem. Uczeszcie moje włosy i grzebieniem i szczotką. Teraz włóżcie mi na głowę czepek z czarnej koronki.

Sewera i Zosia w milczeniu, z pośpiechem obsłużyły matkę.

— Gotowa jestem — powiada Serafinowa i dyszy ciężko i lekko się uśmiecha.

Dobywa zza gorsu ciepły od ciała, zamszowy woreczek, który wi-
si na tej samej czarnej tasiemce co liczne medaliki i szkaplerze. Wy-
jęła z niego i całuje fotografię: pożółkły, wytarty ustami cienki kar-
tonik z trzema malusienkami, jak plamki, główkami na jednej po-
duszce.

— Nie doczekały te moje dzieciątka tej błogiej chwili, — mówi
Serafinowa, — ale wy wszystkie dostąpicie dziś błogosławieństwa —
i każe starszym córkom przywołać młodsze dzieci: Masię i Darka,
Stefana i Jadzkę, Janka, Irenkę, Zygmunta i Pelasię. — Włoduszka
i Krysię podasz mi na kolana jak już będę siedziała na bryczce —
poleca Sewerci.

Serafin jednak krzyczy do żony zdołu, z warsztatu, gdzie stoi czar-
ny, czerwony i wielki, wśród ostro cuchnących skór, że on nie bę-
dzie szukał po wsi koni dla niej do kościoła.

Serafinowa słucha spokojnie. Pod głosem męża ani dziś nie drży,
ani się nie płoni.

— Zośka, — rozporządza córce, — weź ze sobą Zygmunta i Janka.
Wytoczyć z przybudówki na drogę tę starą dwukółkę, która tam,
niewykupiona, niszczeje w kącie. Otrzyj ją bądź jak i obmyj. Spiesz
się.

Mija kilkadziesiąt niedługich chwil.

Spod domostwa Serafinów wyrusza drobna procesja na wąskiej,
chybotliwej ławeczce, wspartej o dwa wysokie koła, siedzi przy-
brana odświętnie, radośnie uśmiechnięta, drobna, blada i chuda ko-
bieta z dwójgiem tłustych niemowląt na drżących kolanach. Zbolałe,
chore jej nogi podtrzymywane są przez ręce smukłej dziewczyny,
która idzie z lewej strony obok wolno toczącego się koła.

Przy dyszlu, parami, ciche jak gołębice, stąpają drobno młodsze
dzieci w białych sukienkach, w jasnych ubrankach, bose i z odkry-
tymi głowami. Małe rączyny objęły pilnie szorstkie drewno, małe
nogi mocno zapierają się w ziemię.

Tak oto zdażają społem dzieci z matką pod Kościelną Górę.

Serafin rzucił warsztat i postępuje zdala. Tęgie, krwiste chłopię-
sko mruczy do siebie coś, coraz cichszym, coraz miększym głosem,
i przyspiesza kroku. Zrównał się za skrzypiącymi kołami. Silną rę-
kę położył na oparciu wózka za plecami żony:

— Daj mi je ponieść, to najmłodsze, matko!

Ludzie, jacy mijają ich, długo patrzą za nimi oczami, które są
wilgotne.

Krótki jest dzień.

Dnia i nocy nie starcza dla wszystkich spraw, które dzieją się te-
raz w Żeleźnie i po sąsiednich wsiach:

Kto się od niepamiętnych czasów kłócił, ten się godzi. Która była
obmównica, milczy, jakoby nabrała wody w usta. Komu djabeł do

cudzej żony łyżkę miodu przykładał, ten czuje teraz piołun w gębie i rozchmurza się tylko wtedy gdy na swoją kobietę patrzy.

Mateusz Maciąg z Kąkolna, chłop młody, dał ojcu wycug taki, że stary musiał iść na żebrzy. Teraz syn ojca przywołał do siebie, usadził go na poczesnym miejscu i rzekł przy otwartych drzwiach i oknach:

— Niech ojciec swoje rządy w tym domu sprawuje, jako ojciec sprawował. Ja, parobek, gospodarskiej mowy ojca słuchać będę, i żona moja, i dzieci moje, ojcowe wnuki.

Agacie Grzelowej spod Wąwelna umierała matka. Nie zdjęła z niej Agata pierzyny, jako się odgrażała przódzi. Owszem, dwie swoje poduchy w haftowanych poszwach, z białej izby do czarnej przeniosła, podetkała je konającej:

— Żyj, matko, żyj jak nodłuży, abyżeśmy według czwartego przykazania Bożego czcić cię mogli.

...Odmieniały się serca w ludziach prędzej niż słońce wokoło ziemi obeszło....

Jaśnie Żabina z Miegoci chodziła po przestronym dworze z pokoju do pokoju, cała w myślach pogrążona. Przyzwiała wreszcie zaufanego Kostka kredencarza. Dała mu list w żółtawej podłużnej kopercie. Wyciśnięta była na tej kopercie pieczęć z czerwonego wosku. W rogu — złożona korona. Przez środek napis: „Do Wielebnego Księdza Proboszcza rąk własnych. Plebanja w Żeleźnie“.

Dwanaście srebrnych nakryć kazała jaśnie Żabina położyć na mahoniowym okrągłym stole, przy którym od dwudziestu jeden lat nikt nie wieczerzał.

Stół ten stał w adamaszkowej, biało-czerwonej sali. Nad stołem wisiał wenecki kryształowy świecznik. Wkoło stołu poręczaste krzesła, obite purpurowym, suto złożonym kurdybanem.

Dwanaście białopiersistych kur kazała zabić jaśnie Żabina i upiec, na tyleż słodkich kołaczy rozczynić ciasto. Poleciała też dwanaście kielichów napełnić słodkiem winem.

O jasnym wieczorze, z pierwszą rosą, zajechał przede dwór niewielki plebański waszątek. Dwanaście starych bab z parafjalnego przytułku siedziało w słomie jak ścicha krzekorzące stadko kwoczek.

Kredencarz zameldował jaśnie pani jako że pobożny rozkaz został wypełniony. Kazano babom zsiąść z wozu.

Szły zastrachane, jedna za drugą. Drobnym kroczeniem kuśtykały przez sieni paradną, przez wyciągnięte w sznur wielkie jak kościół pokoje. Potykały się w każdym rozpołowionych drzwiach o gładkie miejsca, na których nie było wysokiego progu. Zapadały po kostki w puszyste dywany. Płoszyły się na widok zwierciadeł i obrazów. Razporaz to ta, to owa chwytiała się oburącz za kiecki na biodrach i unosila je jakby w pogotowiu do ucieczki. Usadzono je wreszcie wkoło stołu.

Służba w milczeniu wniosła półmiski.

Jaśnie Żabina skinęła prędko suchą, upierścienioną ręką: chciała sama usłużyć ewangelicznym gościom.

Zostały, oczy w oczy, bogaczka i ubogie z przytułku. Odrazu dziwnie duszno uczyniło się w wielkiej sali. Dwanaście par oczu spod opuchniętych, bezręsyh powiek patrzyło jednakowo pilnie i podejrzliwie i w jeden punkt: w twarz bielejącą nad stołem w ognistym migocie iskrzenia diamentowych zausznic, w oparach smakowitych zapachów, co wstały z odkrytych półmisków.

Jaśnie Żabina wyciągnęła ponad stół szeroko rozłożone wąskie ręce okryte iskrami pierścieni:

— Jedzcie i pijcie i weselcie się — rzekła.

Ujęła poręcz trzynastego krzesła, przysunęła je do stołu i siadła między siedzącymi jako jedna z nich.

Wtedy stał się popłoch. Dwanaście bab z przytułku, stękając i pojękując, porwało się się z wysiłkiem na opuchnięte nogi.

Darmo je wstrzymywała Żabina. Wykrzykiwały głośno, nieprzytomnie, o djabelskiej pokusie, o zaprzędanych duszach! Ledwie mogąc posuwać nogami, z piskiem, biegały wokoło adamaszkowych ścian! Aż natrafiły na drzwi. Runęły w nie, pchając się i kwicząc ze strachu.

Żabina słuchała jak przetaczały się przez sznur pokojów, roztrącając się o rzeźbione i złocone odrzwia, szafy, biurka, stoły, łoża z baldachimami... Podniosła się powoli z krzesła, na którym wciąż jeszcze siedziała, wyprostowana, z podniesioną głową.

— Gdzie moja kasza? Gdzie moja kasza? Kto zjadł moją kaszę?...

Usłyszała nagle. Spojrzała poprzez stół i zobaczyła w naprzeciwem krześle skuloną staruchę w szarym czepcu. Niewidoma i głucha wodziła srebrną łyżką przed sobą po pustym talerzu.

Żabina zadzwoniła gwałtownie.

Bocznymi drzwiami weszła tak szybko, jakby za niemi przez cały czas stała, stara faworyta Anna, która oddawna już zastępowała we dworze mleczną siostrę dziedziczki, panią Cezarynę, matkę Kaja Gozdawy.

— Anno, — rzekła spokojnie jaśnie Żabina, — zabierz to! — wskazała końcem ostrego paznokcia na kwilącą babinę. — A tamte warjatki niech spędzą do ludzkiej kuchni. Dać im tam jeść i pić jak czeladzi. Półsztuczka płótna i kawałkiem czarnej wełny obdaruwać każdą. Potem wsadzić kupą na wóz i wywieźć jeszcze tego wieczora.

Nie czekając aż Anna wyjdzie, stanęła przed zwierciadłem. Sięgało od sufitu do ziemi. Przyjrzała się w niem całej sobie, nikłej i zamglonej.

— Salomeo, — rzekła surowo, — chciałaś dwunastokrotnie ugo-

ścić, uradować i uczcić własną starość. Uwielbić chciałaś, aby usprawiedliwić, siwe włosy, sztywne i martwe, pomarszczoną i łuszczącą się skórę, zanikłe mięśnie, tłuszcz obwisły, powykęcane stawy, zgrubiałe kości... mroczący się umysł i serce wyschnięte, opróżnione z miłości. Nie powiedło ci się taksamo jak przed rokiem, gdyś chciała wesprzeć swoją próchniejącą starość na promiennem niemo-włęctwie... Myślę, że jesteś bardziej głupia niż zła, Salomeo. Jesteś prawie dobra — roześmiała się.

Natychmiast roześmiały się za nią wszystkie pokoje, taksamo cicho, drżąco i przeciągle. Śmiały się długo, jeden od drugiego, coraz dalsze.

— W każdym razie należy się coś, jeśli nie złotoustym ojcom misjonarzom, to kościołowi.

Stara kobieta wspięła się na palce, ujęła za ozdobne trzoneczki małe, pozłacane nożyczki, wiszące jej u pasa na srebrnym łańcuchu wraz z kluczami i perełkową torbą. Podniosła je ponad głowę i wbiła je ostrzem w ścienny adamaszek. Raz — i — raz! Dwa długie, lśniące płaty, płat srebrzysto biały i płat malinowy, osunęły się z miękkim szelestem na ciemną posadzkę. (Wyrzała ściana szara i zimna jak mur grobowca).

— Anno! — przywołała starą powiernicę jaśnie Żabina, — pošlij to komu, kto dobrze umie haftować! Niech pošpieszy z robotą.

Najlepiej znała haft w Żeleźnie Joanna, żona Kaja. Dziwnie łatwo jest starej dogadać się dzisiaj z młodą kobietą, z którą niedawno jeszczcze wcale nie było można mówić!

...Od pewnego czasu, aż do tej pory, w szare zimne noce z najmocniejszego snu budził Joannę słaby krzyk człowieka. Otwierała oczy. Ręką uciszała walące na alarm serce. Pytała w ciemność:

— To ty wołałeś, Kaj? Chcesz czego?

Ale Kaj mówił z drugiego łóżka, że nie wołał.

— Przysniło ci się coś, śpij.

Joanna nie mogła już zasnąć. Z otwartymi oczami, z bijącym sercem leżała do rana.

Teraz te straszne noce już się skończyły.

— Vade in pace — usłyszała Joanna od ojców misjonarzy razem z całą gromadą wiernych stłoczonych przy konfesjonatach. Poszła w pokój. I odtąd ucichł słaby, daleki głos wołający na nią po nocach.

O tem teraz mówiła Joanna każdemu, a ludzie słuchając, chętnie dopowiadali swoje, chociaż bowiem skończyły się misje, Dobra Nowina zamieszkała, w każdym domu.

Jedni tylko byli, nieliczni obcy, ludzie w czarnych mundurach z pomarańczowemi wypustkami, którzy zboku, złemi oczami patrzyli na obrządki wiernych, sami żegnając się potrzykroć, prawosławnie, schizmatycko. Ich to kłuła w oczy nowa chorągiew przysłana do ko-

ściółą przez jasnie Żabinę z Miegoci, ku czci Najświętszej Panny. Była to jedyna biało-czerwona chorągiew kościelna. Po jednej stronie złocił się napis: „Boże zbaw...“, po drugiej jaśniał obraz Częstochowskiej.

Przed tym obrazem ślubowała Joanna zawieźć chorego Kaja na Jasną Górę.

Czterdzieści jest koronowanych cudownych obrazów: w Gidlach i w Skępem i w Kalwarji i w wielu innych kościołach. Najgłośniejszym jednak, najszerzej, słynie łaskami Obraz na Jasnej Górze. Temu modlą się ludzie najwięcej. Przez niego najczęściej dostępują cudu.

Joanna z Kajem i z dzieckiem po uciążliwej podróży przybyła na miejsce razem z nocą. Dokoła nich byli obcy ludzie. Gdy Joanna niespokojnie rozpytywała o nocleg, ktoś z gromady bywałych pątników wskazał jej ten dom. Za kilkadziesiąt groszy najęła Joanna ostatni wolny skrawek w przepelnionej izbie od dziewczki, gdyż gospodyni nie było pod tę porę w domu.

Chustką zdjętą z pleców i flanelową płachetką, w którą owinięte było dziecko, odgradziła Joanna opłacony siennik od reszty sienników w trzy rzędy, jeden obok drugiego, rozłożonych po ziemi. Za tą kusą przegrodą ułożyła do snu zmordowanego Kaja i śpiące dziecko. Z podróżnego koszyka wyjęła butelkę z resztką osłodzonej herbaty, postawiła na ziemi przy sienniku.

— Gdy będziesz sam chciał pić, albo jak się dziecko obudzi i zacznie płakać, dasz mu — rzekła do Kaja.

Przyklękła, objęła go wpół, długo, czule całowała go po wychudzonej, zarosniętej twarzy, po osłabłych rękach.

— Teraz, Kaj, teraz, zobaczysz, wszystko złe się skończy. Tylko uwierz, uwierz jak ja wierzę, że wrócisz stąd ze zdrowiem.

Otuliła go przykrótkim paltotem zamiast kołdry i cicho, na palcach wyszła z dusznej izby, z trudem przeciskając się między śpiącymi pokotem pątnikami.

Nie chciała, nie mogła czekać spokojnie do jutra. Pędził ją spod dachu lęk, że jutro, w tłumie proszących zginie jej słaby głos, że przy tylu potrzebujących, jacy się będą cisnęli do ołtarza, dla niej i Kaja może zbraknąć miejsca!

Nie potrzebowała nikogo pytać o drogę w tem nieznanym miejscu: świeciła przed nią złocista gwiazda od reszty gwiazd większa i bliższa ziemi — latarnia przez ojców paulinów zapalona na wieży.

Minęła Joanna długą, ciemną aleję starych drzew, biegnącą pod górę między ubogo oświetlonymi kamienicami. Wyszła na plac obszerny, cały zalany księżycem. Przed nią były mury klasztoru. Krzyknęła cicho! Serce trzepotało w niej tak silnie, że musiała je oburącz przytrzymać pod żakietem. Uklękła. Spragniona piła oczami święty widok jedynych w świecie wieżyc, dachów i blanków.

— Jasna Góra, — szepnęła ze drżeniem, — Jasna Góra.

Na wysokim kamiennym ganku była jasność wielka. Joanna po-
częła iść na kolanach przez pusty plac ku tej jasności. Nieliczne,
ciemne jak ona i jak ona, kornie klęczące postacie z różnych stron
placu posuwały się tam także.

Joanna, dotknąwszy czołem muru, podnosi głowę, podnosi oczy
pokorne, ufne, żebrzące zmiłowania. Wysoko, gęsto obstawiony go-
rejącymi świecami, jaśnieje ogromny, pozłocisty obraz Matki Boskiej
Częstochowskiej. Patrzy. Czeka. Słucha.

Joanna całą duszę wysyła przez oczy do ram tego obrazu. Nie
śmie patrzeć wyżej na ciemną twarz Bogarodzicy przeciętą dwiema
szramami.

— O Maryjo cudowna! O Maryjo! Ty wiesz, Ty wszystko wiesz!
— powtarza razporaz ze wszystkich sił duszy. — O Maryjo! — prosi
gorąco. — Dopomóż mi się modlić do ciebie. Dopomóż mi Ciebie
ubłagać. Cudowny Obrazie, zmiłuj się, zmiłuj nad nami!

Nędzne, słabe są słowa. Joanna wydobywa z dna duszy modlitwę
bez słów, namiętne, pełne ślepej aż do zuchwalstwa, ufności, błaga-
nie. Tylu ludzi odeszło stąd pocieszonych. Cóż jest, czego nie zro-
biłaby moc boża?

— Cudowny Obrazie, uzdrów go, uzdrów!

Do północy trwa Joanna na żarliwej modlitwie. Każdem drgnie-
niem serca wyrzeka się pod złocistym obrazem szczęścia, bogactwa,
urody, wyrzeka się miłości własnego jedyne go dziecka. Ach! i zba-
wienia duszyby się wyrzekła (Boże przebacz, Boże odpuść), żeby
tylko u cudownego obrazu wróciło Kajowi zdrowie... Noc jest tak
cicha — sły chać każde westchnienie serca.

Bez sił, splekana, z duszą na proch spaloną ogniem modlitwy,
wstaje Joanna z kolan. W dobrej nadziei wraca na nocleg do cudzego
domu. W ciemnych sieniach spotkało ją światło. W świetle podnie-
sionej wysoko lampki, któż to stoi przed Joanną? Kobieta w czar-
nem, półzakonnem odzieniu, z głową owitą białem płótnem. Spod
sztywnego rąbka widać jej włosy jarzące jak nitki ciągnięte z du-
katowego złota. Ze złota przemieszanego gęsto srebrem. Te włosy,
te gładkie i pełne jabłkowe policzki... te oczy zielone ogromne, pod
szeroko rozpostartymi brwiami, w ledwo widocznej sieci zmar-
szczek...

— Macocha! — mówi zdumiona Joanna do pani Wincenty. —
Co macocha tu robi?

Pani Wincenta o mało nie wypuściła z rąk lampki.

(Ręce ma białe jak zawsze, lecz już okryte po palcach plamami —
myśli bezwiednie Joanna).

— Któż ty jesteś, kobieto? — bardziej jeszcze niżli pasierbica
zdumiewa się pani Wincenta.

Przyglądają się sobie w milczeniu.

— Zmieniłaś się bardzo od tamtego czasu — mówi cicho pani Wincenta. — Przytyłaś, wyładniałaś, chociaż zniszczona drogą. Ale nie o to mi idzie: nigdy u ciebie takich oczu nie widziałam!

— Ja, matko, wracam spod murów. Modliłam się pod cudownym obrazem. Nikogo z ludzi nie było prawie. Ja, z moją prośbą — mówi jak w zachwyceniu promieniejąca Joanna.

— Co też ty! Cudowny obraz zakryty, pod zasłoną w kaplicy, w kościele — zauważa spokojnie Wincenta. — Jutro go na mszy pielgrzymiej odślonię.

— Więc ja?... — przeraża się Joanna.

— Widziałas zwykły święty obraz, który tu jest na wałach. Pierwszy raz żeś na Jasnej Górze? Masz kogo chorego?

Joanna nie odpowiada. Z bladej robi się jeszcze bledsza. Pani Wincenta tego nie spostrzega, opuściła lampkę i otwiera drzwi do bocznej izby.

— Choć, pogadamy. Pytałaś co tu robię? Wynajmuję państwu noclegi. Chodź.

Joanna bez słowa daje się wieść do izby. To nie ta, w której śpi Kaj, z dzieckiem w nogach, w tłumie pospanych dzieci, mężczyzn i kobiet. Tu siwo jest od dymu, gorąco i gwarno.

— Siadaj — mówi Wincenta i sadza Joannę za stołem na ławce. — Pii — stawia przed nią kwartę z piwem. — Jedz — kładzie chleb i kiełbasę.

Joanna nie sprzeciwia się niczemu. Głowę ma pustą. Serce ma puste. Wszystkie myśli z głowy, całe czucie z serca zostawiła tam, pod klasztornym murem. Wie, że na rannej mszy w kaplicy nie ulepi już nawet zwyczajnych słów pacierza.

Jak przez mgłę słyszy Joanna wkoło siebie huczące głosy. Jak we mgle widzi Joanna ruchliwe ciemne postacie. Głosy są zachrypnięte, jakby wichrami wielu dróg zszarpane, deszczami zżarte, spalone słońcem i gorzałką. Twarze są dziwacznie pokurczone, jakgdyby oglądane z zabliska, lub z daleka, opuchłe i zapadnięte, okrągłe i niepomierne wydłużone z wargami spadającymi na piersi, gładkie i szczeciaste, krościaste i spryskane piegami. Z jej twarzy na końcu stołu jedno tylko świdrujące oko w Joannę patrzy, druga twarz, obok, gałami zasnutymi bielmem mruga. Otrząsa się Joanna jak ze snu, zdumionym wzrokiem wodzi — natrafia na garby sterczące na plecach, na kuse kikuty wiszące u szerokich barów. Posuwają się do niej po stole palce-haczyki, palce-kłody, palce-jaszczurki.

— Zagrajże, Faustynie — słyszy Joannę spokojny, równy głos pani Wincenty.

Podniósł się spod pieca spomiędzy bab smigły wyrostek z pszeniami, do ramion, włosami, z oczami jak chabry, z otwartą raną, zamiast nosa i wargi. Obranami z ciała zębami uśmiechał się nieruchomo, szeroko. Piersisty kobiecy kadłub przytoczył się do jego kolan

na deseczce z kółkami i podniósł ku niemu śniadą twarz i pozłociste ręce — błysnęło czerwienią i czernią harmonja-półtonówka. — Oj ra! —

Huknęły w podłogę drewniane szczudła i kule, zastukały rżęsiście kije obite jeżami, plaskały, klaskały sakwy i torby. — Oj ra! —

— Witajcie, kumo — przyjaźnie uderza Joannę w bok włochata pięść wielka jak bochen.

Barczysty, brodaty staruch śmieje się szeroką twarzą do Joanny. Za jego ramieniem, wyblichowane jak płótno, świeci oblicze ślepej kobiety.

— Witajcie, kumo — szepczą bezzębne usta.

Joanna, zaskoczona, nie odpowiada. Para żebraków sadowi się obok na ławie.

— Góra z górą się nie zejdzie, — mówi dziad proszalny, Daniel, — ale człowiek z człowiekiem, znajdują się.

Żebraczka Salomea szuka czegoś oburącz w sakwie. Wyjmuje słodki obwarzanek:

— Dla chrześniaczki, niech się zdrowo chowa.

Joanna siedzi nieporuszona, z wytrzeszczonymi oczami, jak kukła.

— Przyjmujemy was, kumo, i waszych — mówi Daniel. — Jeśli nie macie na wkup do gromady, Wincenta za was poręczy.

— Wracam z tamtej izby. Widziałam go, ale z nim nie mówiłam, z tobą przodzi... Ty myślisz, — mówi Wincenta, która przystąpiła z drugiej strony do Joanny, — ty myślisz, że to niehonor dla was.

Olbrzym Daniel śmieje się. Jego siwa skołtuniona broda faluje na piersi jak obłok. Jego czerwone policzki pałają. Odrzuca spod pach kule, staje wsparty pięściami na stole, potężny. Milczą wszyscy. On jeden mówi, a głos jego huczy pod stropem, wypełnia całą izbę, sienie i podwórze:

— Niehonor być w dziadowskiej gromadzie? A wiesz ty, że bez nas ubogich i ułomnych i ślepych i chromych nie weszedłby nikt z bogatych i zdrowych i widzących i prostych do królestwa Bożego? Jaki to klucz, co najpewniej otwiera bramę nieba? Jałmużna, miłosierdzie, pokora. Za jaki to grosz sto groszy Bóg płaci. Za grosz dany żebrakowi. Gardzą nami? Nieprawda: praktykowałiby to swoje chrześcijańskie cnoty, jakby im nas zbrakło? Wytracą nas? Zginęliby sami. Nie oni, to my ich żywimy, za suchą kromkę chleba, za kubek wody, darowując ich duszom życie wieczne, my — dziady proszalne, podkościelne kaleki, najmilsze pośredniki łask boskich! — odetchnął.

— Dasz jej teraz — rzekła prędko Wincenta, wskazując na Joannę — drugie miejsce dla niego przy pierwszej bramie. W czas odpustów zaś...

— A ja?! — wrzasnął, przepychając się do stołu mały kulawiec

w czarnej czapie włosów na ogromnej, rozdętej wodą głowie. Za jego plecami sunęła cienka jak łasica i jak łasica zwinna kobieta.

— Milcz. — Wincenta podniosła głos na nich oboje. — Dośćżeście uzbierali brzęczączki.

— A nie wszystka część, co trzeba, szła do podziału... Nie wszystka, wiem — zamruczała ślepa Salomea.

Wszczął się rozgwar przy stole i rósł w tumult po kątach. Wtem w uchylonych drzwiach ukazała się ręka i jęła kiwać gwałtownie w stronę Wincenty. Gospodyni wstała, podeszła do drzwi. Poczem obróciła się prędko i oczami poszukała Joanny.

— Kaj? — krzyknęła Joanna.

— Woła cię. Jest mu gorzej.

d. c. n.

Ewa Szelburg-Zarembina

PRZEBUDZENIE

Sonet

Słońce zwisa znad chłodów, jak jabłko z jabłoni. Ptactwo nad snami goni blasków okruszyny.

A przez śliwkową nagość bezwładnej dziewczyny poszła czerwien zbudzenia od stóp aż do dłoni.

Jej wargi rozcisnęły pierwszy uśmiech siny, płynący lilją świtu po wczorajszej toni.

Poranny pocałunek jak owoc się płoni, zaplątany w zielone ciała, jak w rośliny.

Na talerzach cytryny błękitnieją złote. Patrzymy zadziwieni na słoneczną słońce. Myśli jeszcze są senne, usta już gorące.

Jakże kwietnie i lotnie wszystko się nazywa, kiedy pod bosc nogi jeszcze raz podpływa dzień niosący, jak tratwa, nas dwoje pod słońce.

Światopełk Karpiński

PRZEGLĄD TEATRALNY

Początek sezonu teatralnego przynosi ze sobą zawsze lekkie podniecenie. Po letniej przerwie wzmagają się świeżość odczuwania, zaostrza ciekawość, rosną nadzieje. Przeszczepuje się próg teatru ochoczo, jakby się miało lat szesnaście albo jakby się przyjechało świeżo z głuchej prowincji. Co nas tu czeka?

W tym roku jednak sezon rozpoczął się wprost fatalnie. Odrazu zasypano nam oczy piachem i kurzem, a myśli nudą. Wyścig złego smaku, trywjalności, pospolitości, przykre obniżenie poziomu wymagań intelektualnych. Przytem zupełne pomylenie zadań poszczególnych teatrów, wadliwe obsady, a co za tem idzie—licha gra. Pięć czy sześć premier jedna po drugiej—kumulacja głupstwa. Taką dawkę, jeszcze w stanie zagęszczonym na przestrzeni krótkiego czasu, trudno wytrzymać.

Same farsy pokazano nam na początek. Nawet ze starego Scribe'a, z jego dętego patosu, ze staroświeckiej psychologii i romansowych konfliktów potrafiąno zrobić farsę. Możeby to było zabawne, gdyby to uczyniono świadomie. Ale to nie była „Wampuka”. Tyle że zatracono właściwy styl utworu, a nie wydobyto z niego twórczej parodji. Zresztą „Walka kobiet” nie nadaje się ani do eksperymentów, ani do wznowiania. Jako teatr retrospektywny nie ma przyzwoitego wdzięku ani kinowej nieco stylowości „Szkłanki wody”, która dzięki temu szczęśliwym cudem wytrzymała ogniową próbę wznowienia. Powodzenie tej bomby, to był raczej paradoks, a paradoksów nie wolno powtarzać. Wznawianie mechaniczne sztuk, o których się wie skądinąd, że nie posiadają wybitniejszej wartości, wznawianie bez idei reżyserskiej, inscenizacyjnej, aktorskiej czy obyczajowej, to jest pospolite zaśmiecanie teatru. Ponuro-farsowe wrażenie potęgowała jeszcze wyjątkowo wadliwa obsada. Cwiklińska, bardzo dobra komiczka, nie może, na miłość boską, grać roli piękności, jakie jej ofiarowują od jakiegoś czasu, wbrew zdrowemu sensowi; nie może też grać ról dramatycznych, bo je ośmiesza. Reszta zespołu, surowa, nieobyta ze scribe'owskim typem ról, męczyła się bezsilnie, z wyjątkiem Brydzińskiego, który miał gest i styl. „Walka kobiet”, pisana w dobie fetyszystycznego uwielbienia aktorów, dla zaprezentowania ulubieńców, obsadzona wątłe i niewłaściwie, straciła resztki swojej słabej racji bytu.

Teatr Polski dał sztukę Węgra, Bus Feketego, która zapewne cieszyłaby na scenie teatru Letniego, ale smuciła w tej sali, gdzie tyleśmy już przeżyli pięknych i artystycznych wzruszeń. Te „Urodziny”, zaczawszy od dobrego rozpędu komicznego, zjeżdżały z każdą odśtoną coraz niżej w objęcia farsy, aż skończyły zupełnym głupstwem. Pomysł pokazania całego życia człowieka jest powabny i ponętny dla dramaturga. Różne twarze, różne dusze, myśli i poglądy, jakie człowiek obnosi i zmienia w ciągu swojej wędrówki; kolejne upadki i renesansy młodości; paradoksalność postępów, rządzonych swoistą logiką afektów, bardzo daleką od logiki intelektualnej; niespodzianki i dowcipy przeznaczenia — to pierwszorzędny temat dla pisarza. Bus Fekete wywiązał się z zadania, jakie sam sobie postawił, ze zdumiewającym brakiem kultury, choć z niemałą wcale dozą talentu. Obok wybornych sytuacji i błysków inteligencji — pospolitość, ordynarność i prostactwo. Obok dowcipu — płaski melodramat. A przytem nieprzyzwoi-

cie jest rozpatrywać czyjeś życie wyłącznie pod kątem jego przygód erotycznych, tem bardziej, że jest w tem zawsze fałsz zarówno życiowy jak psychologiczny. Węgrzyn błaznował, zamiast grać, dopiero w dalszych odsłonach postawił rolę. Dobra i prawdziwa w swoich przeobrażeniach, zwłaszcza jako niepokojące dziecko, była Lubieńska.

Trochę przyjemniejszej atmosfery wniosła angielska komedia Huxleya (nie tego dobrego!). Duża świeżość i wdzięk płynęły z historii młodego lorda, nawróconego do sprzątanania kuchni przez kopciuszka. Zwłaszcza kobiety były bardzo rozczulone, bo wytłumaczyć facetowi uroki wielkiego sprzątanania jest tajemnym mieniem każdej. Ale niebardzobym się dała wziąć na lep rzekomej demokratyczności tej komedyjki: dziewczyny, według Huxleya, nie hańbi szczerka do zamiatania, ale jednak załapawszy lorda, skwapliwie podciągnie się do niego i na stałe przyjmie jego życie, i będą żyli jak lordowie, nie jak sprzątacze. Ostateczny morał nie oznacza wcale kultu pracy, ale kult bogactwa i tytułu, jako radykalnego wynagrodzenia cnót uczciwości, czystości i porządku. Sama zaś młoda lady, o ile pozostanie przy swoich zaletach, zapowiada się na straszliwą klempe. Zresztą to wszystko jest nieprawda, i nikt w to nie wierzy, prócz paru pracowników domowych na galerji, ale naiwny humor i wdzięk mają swoje uroki; te „Wiosenne porządki” są jasnym punktem na mocno zmętniałym horyzoncie teatralnym. Grali mile Lindorfówna, Warnecki, Justjan.

Dalej już nadobrze wchodzimy w mokrą, lepłą mgłę. Teatr Malickiej rozpoczął istnienie lichą polską sztuką, teatr Letni wystawił jakąś sub-farsę, która obudziła powszechny i żywiołowy sprzeciw. W ogólnym rezultacie ze wszystkich premier, jakieśmy oglądali tego miesiąca, najwyższy poziom literacki, a zwłaszcza aktorski, miał program w kabarecie artystycznym „Cyrułik Warszawski”.

Ogólne obniżenie wymagań literackich i rozpanoszenie się złego smaku, to naprawdę groźne objawy w naszym życiu kulturalnym. Prawdopodobnie jako rewanż za tę szarańczę farsową dostaniemy w najbliższym czasie jakąś „kobyłę” z repertuaru t. zw. klasycznego. Ale to nie wyrównywa zachwianej równowagi. Teatr powinien być sejsmografem dla wszystkich drgnień życia. Powinien dawać widzowi obraz współczesnej i minionej rzeczywistości, obyczajów, pojęć. Kino obecne więcej uczy o świecie i lepiej bawi. Nic dziwnego, że frekwencja w teatrach zamiera. Teatr może pobić kino tylko na terenie intelektualnym. Ale znów nie każdy ma siły i zdrowie, a choćby mózg dostatecznie wypoczęty, aby oglądać tradycyjne „arcydzieła”, z których tylko niektóre są arcydziełami prawdziwymi. Z drugiej zaś strony kulturalny i inteligentny widz (a takich jest wielu, wbrew rozpowszechnionemu mniemaniu) nudzi się i martwi na farsie. To czego chce jest żywa, pasjonująca, pobudzająca go do myślenia i emocji, sztuka. I niech nikt nie mówi, że takich sztuk niema. Lenistwo i ignorancja kierowników teatrów jest pod tym względem zdumiewająca. Jest przecież teatr angielski, który znamy zbyt mało, francuski: klasycy, wiek XIX (choćby Courteline), najnowszy (ileż nazwisk z Jules Romainsem na czele), którego rzadkie okazy pokazują nam od czasu do czasu. Jest bardzo interesujący teatr amerykański, jest teatr sowiecki i Skandynawowie, których nowej produkcji zupełnie nie znamy, a Ibsena wznawia tylko Adwentowicz. Jest teatr włoski z Pirandellem, którego niewiadomo czemu przestało się grać. Muszą z pewnością być sztuki małych, powstałych niedawno do życia, narodów. Na miłość boską, świat przetwarza się i kipi nowymi myślami, a teatry nie mają co grać? Nieprawda! Tylko ci, do których to należy, nie umieją szukać, tylko nie chce im się odnowa czytać dawnego i zapoznawać z najnowszym, tylko rzadko kto u nas zna obce języki, tylko mało jest ludzi z własnym, wyrobionym sądem i rzetelną kulturą literacką, no i z poczuciem humoru, bez którego jakże kwalifikować komedję? Jaka rada na to, że tak mizerny mamy kontakt z teatrem światowym? Poco się okłamywać: stajemy się coraz dotkliwiej teatralnym partykularzem.

Irena Krzywicka

C

W POPRZEDNICH NUMERACH „SKAMANDRA”

ZESZYT KWIETNIOWY (57)

Leopold Staff: Złe przykazania — **Bolesław Leśmian:** Znikomek — **Jan Lechoń:** Don Juan — **K. W. Zawodziński:** Pegaz, to nie samochód bezkołowy — **Józef Łobodowski:** Powrót Alaina Gerbault — **Boy-Zeleński:** Proza, wiersz i przekłady — **Czesław Miłosz:** Bramy Arsenalu — **Emil Żegadłowicz:** Maryla — **Józef Wittlin:** Gwiazdy — **Marjan Hemar:** Cierpienia młodego Wertera — **Juljan Tuwim:** Mgła — **Władysław Broniewski:** Noc — **Jarosław Iwaszkiewicz:** Inne życie — **Antoni Słonimski:** Rówieśnica — **Światopełk Karpieński:** Zebracy — **Wojciech Bąk:** Nad grobem prostytutek — **Jerzy Stempowski:** André Malraux — **Stanisław Baliński:** Czarna przyroda — **Tadeusz Hollender:** Noce straszliwe — **Marja Pawlikowska (Jasnorzewska):** Erotyki — **Hanna Skarbek - Peretiatkowicz:** Conrad w Indjach — **Irena Krzywicka:** Przegląd teatralny — **Zdzisław Czermański:** Wieczór w Tunce. Ulica w Tunce. Ulica w Irkucku. Krajobraz (plansze z cyklu „Piśsudski na Syberji”) — **Feliks Topolski:** Rysunki — **Janina Konarska:** Okładka

ZESZYT MAJOWY (58)

Aleksandr Puszkina, przełożył **Juljan Tuwim:** Władza świecka. Wieczór zimowy. * * * Zakłęcie. * * * **Władysław Kozicki:** Zmienność sądów i ocen estetycznych — **Józef Łobodowski:** Widziadła mówią — **Bruno Schulz:** Księga — **Stanisław Baliński:** Niepokój — **Leopold Staff:** Dobre i złe — **Ryszard Matuszewski:** Węgry — **Antoni Słonimski:** Murzyn warszawski. Komedja w trzech aktach. Akt pierwszy — **Paweł Hertz:** * * * — **Czesław Miłosz:** Elegja — **Adolf Sowiński:** Powrót — **Lew Gomolickij:** Od pozarozumowości poprzez milczenie... — **Elżbieta Szemplińska:** O szponach. Nieudana zdrada. Zła miłość — **Marjan Promiński:** Powieść i nowela reportażowa — **Marja Pawlikowska (Jasnorzewska):** Słowo „crépuscule”. Nieporozumienie — **Irena Krzywicka:** Przegląd teatralny — **Levitt-Him:** Portrety współczesnych pisarzy polskich (Irzykowski, Kaden-Bandrowski, Grubiński, Uniłowski, Pawlikowska (Jasnorzewska), Choromański, Słonimski, Bąk, Wańkowicz, Krzywicka i Wanda Melcer) — **Feliks Topolski:** Rysunki — **Antoni Wajwód:** Okładka

ZESZYT CZERWCOWY (59)

Mieczysław Jastrun: Legenda — **Fr. R. Siedlecki:** O rytmie i metrze — **Edward Bażrickij,** przełożył **St. R. Stande:** Duma o Opanasie — **Jerzy Zagórski:** Jedna podróż — **Światopełk Karpieński:** Rozwiany wiersz: **Marja Pawlikowska (Jasnorzewska):** Strych na Kossakówce — **Józef Łobodowski:** List do więzienia — **Antoni Słonimski:** Murzyn warszawski. Komedja w trzech aktach. Akt drugi — **Wanda Melcer:** Niedziela — **Konstanty Mi-kiewicz:** Rzeka. * * * **Władysław Broniewski:** Hawrań i Murań. Zachód. — **Elżbieta Szemplińska:** Tysiąc oczu. Twoja litera. Grypa. Sojusznicy — **Leon Tauman:** Marcel Proust o sztuce — **Szymon Piłgwa:** Pogrzeb chłopca — **Irena Krzywicka:** Przegląd teatralny — **Rafał Malczewski:** Śląsk. Stacja zała-

①

dowcza kopalni Mysłowice. Bieda-szyby. Pod hutą cynkową. Węgiel. Chłodnia. Mieszkania. Sielanka przy hałdzie cynkowej (z cyklu „Czarny Śląsk”) — **Feliks Topolski**: Rysunki — **Tadeusz Lipski**: Okładka

ZESZYT LIPCOWY (60)

Józef Łobodowski: Duma o żołnierzu — **Paweł Hulka - Laskowski**: Wiekuisty powrót tego samego — **Marja Jasnorzewska (Pawlikowska)**: Poduszka z chmielu. Grób. Ptasi kiermasz — **Witold Gombrowicz**: Ferdydurke — **Stanisław Rogowski**: Pogrzeb — **Aleksander Janta-Pończyński**: Astronomja — **Wojciech Bąk**: Obłąkana struna — **Wanda Melcer**: Wiersz dla dzieci o nowej Warszawie — **Mieczysław Jastrun**: Emeryt — **Adolf Sowiński**: Phantasma Dei — **Paweł Hertz**: * * * — **Antoni Słonimski**: Murzyn warszawski. Komedja w trzech aktach. Akt trzeci — **Mikołaj Niekra-sow**, przełożył **Juljan Tuwim**: * * *. W domu lepiej. * * * * *. Trumienka — **K. W. Zawodziński**: Dwa sezony w kinie — **Levitt - Him**: 12 fotografów widzi okno — **Feliks Topolski**: Rysunki — **Irena Kuczborska**: Okładka

ZESZYT SIERPNIOWY (61)

Emil Zegadłowicz: Na dnie skrzypiec — **K. W. Zawodziński**: Rzut oka na współczesną literaturę polską — **Józef Łobodowski**: Noc świętojańska — **Kazimiera Iłakowiczówna**: Kamień i słowik — **Wojciech Bąk**: Magdale-no! — **Stanisław Rogowski**: Cmentarz odkupionych — **Alfred Jarry**, przełożył **Boy-Zeleński**: Ubu król czyli Polacy. Akty pierwszy, drugi i trzeci — **Światopełk Karpiński**: Zwierzęta i kwiaty. Hel. Słowo o nicości — **Ma-rjan Promiński**: Mięso w parku — **Stefan Łęczyc**: Noc małopolska — **Mie-czysław Jastrun**: Samotność — **Irena Krzywicka**: Przegląd teatralny — **Kisling**: Siostra i brat. Polski szal. Josette. Portret Colette de Jouvenel — **Feliks Topolski**: Rysunki — **Marek Żuławski**: Okładka

ZESZYT WRZEŚNIOUY (62)

Stanisław Rogowski: Panny leśne — **Ewa Szelburg - Zarembina**: Ludzie z wosku — **Anna Świrszczyńska**: Victoria — **Światopełk Karpiński**: Inwo-kacja — **Aleksander Janta-Pończyński**: Wiersz o koniach — **Fr. R. Sie-dlecki**: Z dziejów naszego wiersza — **Paweł Hertz**: Korowód — **Leopold Staff**: Nad stawem. Mieszczuch — **Alfred Jarry**, przełożył **Boy-Zeleński**: Ubu król czyli Polacy. Akty czwarty i piąty — **Mieczysław Jastrun**: Bal-lada. Zdrada — **Adolf Sowiński**: Sielanka. Kolchis — **Elżbieta Szempliń-ska**: Wilczy żal. W myśl ostrzeżenia — **Marja Jasnorzewska (Pawlikow-ska)**: Kropka. Wykrzyknik — **August Grodzicki**: Pirożyński klasyczny — **Feliks Topolski**: Buckingham Palace. Hyde Park. Gravesend. Eastend. Whitechapel. Izba Gmin. Pałac Sprawiedliwości. Café Royal. Dziewczęta od Woolwortha. Berkeley Square. Bond Street. Eaton Square. Ebury Street. Derby w Epsom (z cyklu „Londyn”) — **Feliks Topolski**: Rysunki — **Eugenja Różańska**: Okładka